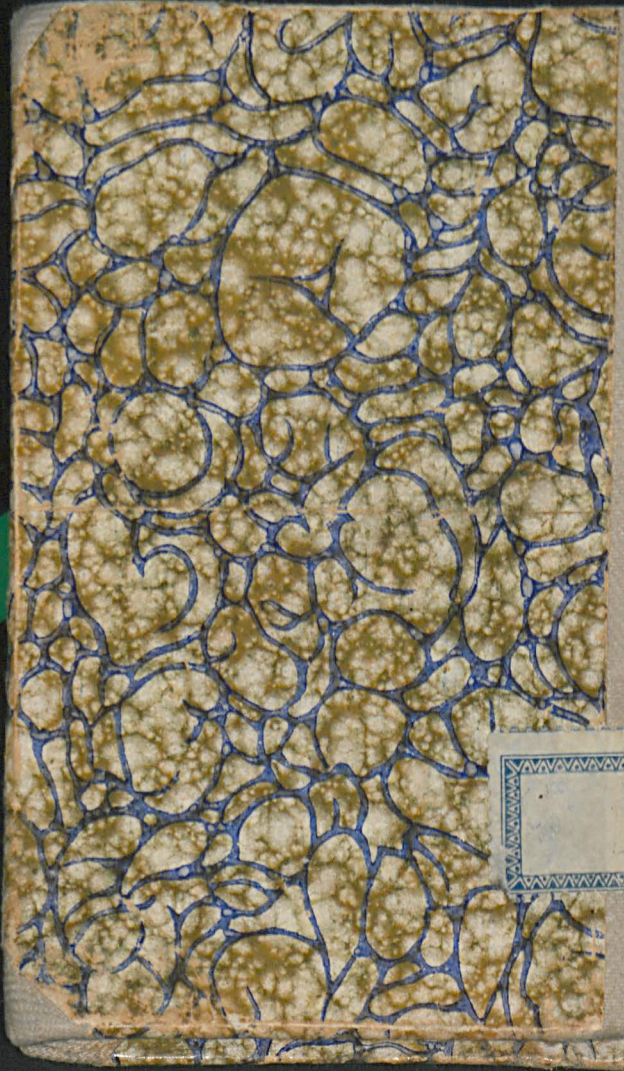

KSIĄŻKI DLA WSZYSTKICH

Wybór najcelniejszych utworów pisarzów polskich i oboych

Zygmunt Krasiński

PRZEDŚWIT

Ultima Cumaei venit jam carminis aetas:
Magnus ab integro saeclorum nascitur ordo.
VIRGILIUS (Ecloga IV).

Hodie scietis, quia veniet Dominus et salvabit nos et mane videbitis gloriam ejus.
MISS. ROM. in vigil. Nat. Dom.

A Jezus im odpowiedział: Ojciec mój aż dotąd pracuje i ja pracuję.
EW. S. JANA. R. V, w. 17.

Wstępem i objaśnieniami opatrzył

Jan Michalski

2448
2734

WARSZAWA
NAKŁADEM I DRUKIEM M. AROTA
1908

450

WSTĘP.

«Przedświt» Z. Krasińskiego jest najzupełniejszym wyrazem kierunku mesjanistycznego, jaki zapanował w poezji polskiej pod wpływem nieszczęść narodowych.

Echa mesjanizmu, t. j. wiary w szczególne posłannictwo narodu polskiego w dziejach ludzkości, spotkać już można w literaturze staropolskiej (Długosz, Skarga, Kochowski w «Psalmodji»).

Wypadki bolesne na schyłku wieku XVIII-go i w początkach XIX-go szereg wstrząśnień gwałtownych i zawiedzionych nadziei wywołały rozwój mesjanizmu, który przez długie lata stał się balsamem ożywczym, kojącym rany świeże.

Już w «Bardzie polskim» (1795 r.) młody Adam Czartoryski mówi, że Polska cierpi, jak Chrystus, a w kilka lat później poeta i kaznodzieja Woronicz w «Sybilli» i «Hymnie do Boga» wyraża przeświadczenie o szczególnym posłannictwie narodu polskiego i rokuje mu przyszłość świetną.

Jeszcze silniej ta wiara wyrażoną została w «Mowie o narodowości Polaków», czytanej przez Kazimierza Brodzińskiego na posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie 3 maja 1831 roku. Polskę stawia Brodziński na czele wszystkich narodów; «naród polski jest przez natchnienie filozofem, Kopernikiem w świecie moralnym». «Ideą jego (narodu polskiego) było — pod słońcem religji rozwinąć drzewo wolności i braterstwa».

Po katastrofie r. 1831-go cała poezja polska stała się wieszczą, szukała rozwiązania zagadki, dlaczego cierpi Polska i jaką jej przyszłość losy gotują.

Trzecia część «Dziadów» i «Księgi pielgrzymstwa polskiego» Mickiewicza przesiąknięte są mesjanizmem. Mesjanizm najwiekszego poety polskiego zrodził się z uczucia olbrzymiego, którego nieprzebrane skarby spoczywały w duszy tego poety.

Krasiński mesjanizm starał się uzasadnić w sposób rozumowy, logiczny.

Wiara w szczególne posłannictwo narodu polskiego zrodziła się z gorącego patrjotyzmu i głębokiej religijności wyznawców tego poglądu. Patrząc na przeszłość przez pryzmat wielkiej miłości i tęsknoty, nie dojrzeli na niej żadnych skaz i win. Widzieli, że Polska cierpi niewinnie. Powstał więc trudny do rozwiązania dylemat: jak pogodzić cierpienia Polski niewinnej z wiarą w sprawiedliwość Boską? Trzeba było albo uznać, że Polska pokutuje za winy popełnione, albo że Bóg zgoła nie opiekuje się sprawami ludzkości. Głębokie uczucie, jak zaznaczyliśmy, nie dozwoliło dostrzec żadnych plam w przedmiocie umiłowanym, a gorąca, niezachwiana niczym wiara w Boga i Jego sprawiedliwość nie pozwoliła rozstrzygnąć tej sprawy w kierunku drugim. Wyjście z tego znaleziono w ten sposób: podobnie jak Chrystus, ażeby zadośćuczynić sprawiedliwości Bo-

skiej, poniósł męki i śmierć za grzechy rodzaju ludzkiego i przez to zbawił całą ludzkość, tak teraz za grzechy ludzkości cierpi Polska i jej chwilowa śmierć będzie odrodzeniem dla całej ludzkości.

«Przedświt» poprzedził Krasiński wstępem, w którym wyraził poglądy swoje na bieg dziejów całego świata i losy Polski. Wstęp ten zawiera najlepsze objaśnienie do «Przedświtu»; w samym poemacie w sposób poetyczny wyraża poeta to, co starał się umotywować ściśle w przedmowie prozaicznej.

Za dni Cezara, poprzedzających wielki dzień Chrystusa, świat starożytny był doszedł do ostatnich wyników historji swojej—w religji do zupełnego zwątpienia—w filozofji do zupełnego obalenia zasad politeizmu[1]. Augur[2] śmiał się z augura—a grecki sofistą[3] z samego siebie. Krytyka rozumu zniszczyła wszelką wiarę dawną, wszelkie życie, żywiące wśród ludów, a nic równie żywotnego lub żywotniejszego na to miejsce nie postawiła. Gdzie tylko spojrzeć w świecie ducha, ruiny, swawola, rozstrój—*quot capita tot sensus*[4]. Epikureizm[5], stoicyzm[6], platonizm[7], przechadzały się jak mary po owdowiałych piersiach ludzkości. Z tylu wojen, proskrypcji[8] i rewolucji, wielkie znużenie było się zostało w sercach—wszystkie wiary polityczne spełzły na niczym; i plebejanin Marjusz i pa-

trycjusz Sylla[9] nie zdolali urzeczywistnić myśli swoich — choć niesłychanym krwi ludzkiej rozlewem, gwałtami, niesprawiedliwością, terroryzmem, starali się dawnego i znikającego porządku kształty raz jeszcze z przeszłości wywołać, i żywą teraźniejszością uczynić! Śmierć tylko śmiercią wprowadzać można—jedno życie tylko nie broni się rzezią—nie wtłacza się na karki ludzkie jarzmem—ale żywotnie wstępuje w serce ludzkości, stawiając, a nie niszcząc, kochając, a nie każąc zabijać. Wszyscy ci wielcy czy *zatraciciele*, czy *odnowiciele* z ostatnich czasow Rzymu, jedną cechę na sobie noszą—pragną nieznośną postać rzeczy odmienić, ale nie wiedzą, ku czemu dąży historja świata. Jedni trzymają się podania Grakchów[10], i chcą demokracji—drudzy wierzą jeszcze w *bogi Many*[11] Appjuszów[12] i marzą o arystokracyjnej rzeczypospolitej. Takim marzeniem obłąkany Brutus[13], ojca własnego, największego ze śmiertelnych przed Napoleonem, zamorduje i nazwie to cnotą, a konając zwątpi o sobie, o ojczyźnie i o bogach, i krzyknie: «Cnota jest także

złudzeniem!» Dusza zabijającego się Brutusa to najprawdziwszy obraz duszy świata całego naonczas. Słabość, niepewność, gorączkowa żądza czegoś lepszego i gorączkowe przerażenie po każdym czynie dokonanym, który do pożądanej przemiany nie doprowadził, oto są duszy takiej piętna — i z tych znamion łatwo rozpoznać, że świat ten blizki dnia sądu i przeobrażenia swego!

A nietylko umysłowy stan ten bez wiary i daremnych tęsknot lub żalów świadczy o tym. Inna jeszcze występuje tu cecha—nad wszystkie ważna—dowodna—niechybna—choć z wręcz przeciwnego stanowiska zarwana, choć tycząca się tylko materjalnej strony ówczesnego człowieczeństwa; kiedy albowiem wszystko na polu ducha się rozprasza, skądinąd, na polu materjalnych spraw i celów, coraz bardziej się kupi, zrasta, ześrodkowywa. Rzym, choć rozdarty sam w sobie i już własnej nie mający idei, zwycięża, gromi, podbija wciąż i staje się wreszcie człowiekiem jednym tylko, któremu na imię Juljusz Cezar — a człowiek ten ziemię nauczy jedności i wspól-

ności; na pozór wojnami ją skaleczy, na pozór bratu przeciw bratu, synowi przeciw ojcu krótki miecz do rąk włoży— przejdzie Rubikon[14] bezbożnik—powie: *jacta alea est*[15]. Cywilnej wojny ohydę śmiało weźmie na czoło swoje — Galją o Egipt uderzy—Giermanom pokaże błękit niebios greckich pod Farsalą[16]—Greków za sobą porwie do Afryki—wszystko pomiesza, rozkrwawi, napełni świat szczękiem broni, krzykiem boju, nienawiści krzykiem—a jednak wszystko mimowoli, mimowiedzy połączy, pobrata; granit plemion nieznających siebie zetrze na piasek jeden, ten sam gładki i równy, jednego uniwersalnego[17] państwa! I o nim Żydzi myśleć będą, że on jest Mesjaszem— i ziemia o nim pomyśli na chwilę, że on jej bogiem! Lecz wiecie, że on był tylko poprzednikiem jej Boga. Na polu historycznego czynu, on tym aniołem, któremu przykazano usuwać zapory z przed stóp idącego Pana! On świat przywiódł do materjalnej jedności, bez której żadne słowo życia rozejść się nie może — on ziemię znaną podówczas zamienił w jeden wielki i szeroki gościniec!

A lat nie wiele później, któż zaczął stąpać po tej bitej drodze? Kto kazać i oznajmiać, że nowe życie już zesłane— i że zmarli nie umrą i że Bóg, nieznany w Atenach, objawion w Hierozolimie?— Czy nie Piotr—czy nie Paweł—czy nie Jan święty? Szaleli następcy wielkiego Juljusza — prześladowali wiarę nową — żartowali śród biesiad ze słowa opowiadanego—chrześcijan przybijali do krzyżów—a nie wiedzieli, że trzeba było zniszczyć dzieło pierwszego z cezarów, by zaszkodzić rozprzestrzenieniu się nowej religji—że to to samo, co ich na *krótko-* i *kroto-chwilnych* bogów ziemskich wynosiło, torowało też drogę ruchowi poczętemu z nieba—i że jedność materjalna państwa, które w sobie resztę świata pod nazwą prowincji podbitych zamknęło, była podścieliskiem, warunkiem, zakładem, środkiem koniecznym postępu dla chrześcijaństwa. Dbali o tę jedność, pielęgnowali ją, bronili jej o ile sił zniewieściałych im stało—a tym samym ślepo i bezwiednie opiekowali się coraz wyższym chrześcijaństwa wzrostem! W ręku Opatrzności narzędziami byli—prawa hi-

storji dopełniali, wiedzeni własnym pożytkiem, tak jak handlarze i kupcy za czasów naszych—i tak z tylu szatanów widomych na ziemi, każden był sługą bożych myśli—każden jedną cegłą więcej, rzuconą do budowy Kościoła. Jako imperatory przeszli oni obarczeni przekleństwem ludzi—jak *cegły* zostali się—i dotąd potomni ludzie po nich deptają w historji.

Discite historiam exemplo moniti![18] Lat dwa tysiące upływa, a te same znaki rozciągnęły się po falach czasu—ostatnie podrzuty rzeczypospolitej rzymskiej odbiły się w strasznym epileptycznym[19] zadrgnieniu rewolucji francuskiej. Zerwały się cienie Marjusza, Sylli, Katyliny, pod krwawą postacią Dantona, Saint-Justa, Robespierra[20]—wreszcie dni Cezara przelały się w dni Napoleona! A chrześcijański Cezar, wyższy całą ubiegłą epoką od poprzednika, przepełniony wiedzą siebie samego i celem, któremu kwoli Duch boży, kierujący dziejami, go zesłał, rzekł umierając na skale wygnania: «*ode mnie liczyć się będzie nowej ery początek.*» W tym słowie zawarta prawda i jego całej przyszłości. Lecz nim ta prawda się rozwinie i dopełni, nim ze stanowiska napoleońskiego przejdzie świat do innego, całkowitszego i świętszego przeobrażenia się, musi się sam wyczerpywać, jak wyczerpywał się starożytny, musi sam się zaprzeczać, jak zaprzeczał się starożytny. Nie od dzisiaj, nie od wczoraj ruch ten postępowy w *niszczeniu*, zawrót ten głęboki w zastanawianiu się nad sobą samym poczęty! Od Grakchów świat pogański nie spoczął, aż usłyszał obietnicę Chrystusa — od Lutra nowożytny nie ma pokoju — cywilną ogromną wojną i myśli i miecza rozłamuje się coraz bardziej—i on też nie spocznie, aż dojdzie nie już do usłyszenia, ale do zrozumienia i dopełnienia obietnicy Chrystusa!

W okręgach religijnych wszędzie rozbrat — Kościół katolicki jakby snem od wieków trzech, od ostatniego soboru, ujęty — schizma grecka w dziecinnym kształcie pierwotnego chrześcijaństwa, na tysiąc kacerstw[21] rozerwana—protestantyzm sam siebie rozwiązujący i mówiący: *consumatum est!*[22] W okręgach

filozoficznej wiedzy, pewność—ale *braku* tylko—dowód, ale krytyczny tylko, że przeszłość niezdolna potrzebom ludzkości zadosyć uczynić. *Wściekło-flegmatyczne*, że tak powiem, zaprzeczenie filozofji niemieckiej, do najwyższego bezkształtu doszłe. Jednostronność *myśli* tknięta tą samą niemocą postawienia czegoś żywotnego, jak wprzódy jednostronność *materji*, której się trzymał ród encyklopedystów[23] francuskich. Stąd mniemań, teorji, przypuszczeń, systematów zagmatwany rój brzęczący nad Europą!

Wszystkich wieków, co przeszły nad ludzkością, marzenia, nadzieje, szlachetne wiary i straszne bluźnierstwa, herezje chrześcijańskie wszystkie, panteizm indyjski[24] cały, dualizm[25] perski, monoteizm[26] hebrajski, idealność wyłączna i zmysłowość wyłączna; wskrzeszone razem i w tej mieszaninie wykształcone, ogładzone, jedne na drugie się zasuwając tak, iż trudne do rozpoznania—a wszystkie wołające do nieba o dzień sądu, o chwilę rozstrzygnienia, same proszące się o śmierć, by się prędzej przemieniły, i nową iskrą życia pojednane

zmartwychwstały młodemi napowrót! Oto obraz umysłowej sfery czasów naszych!

Anarchja taka okropna, że koniecznie dąży do przesilenia — żądza taka wielka a dotąd daremna, że wzywa koniecznie pomocy Ojca, który jest w niebiesiech! Kiedyż ta pomoc odmówiona była? Kiedyż Bóg opuścił historję, kiedy historja wzniosła ku niemu ręce i językiem wszystkich ludów ziemi krzyknęła: «*Pokaż się nam, Panie!*»

Żądza nieskończona ciągnie za sobą wieczną tęsknotę i żal nieskończony—jak w osobniku, tak i w rodzie ludzkim zdarza się melancholja—ze zbiorowego człowieka także cieknie czasami pot krwawych udręczeń na górach oliwnych historji. Gdyby inaczej było, ducha ludzkiego, własną wolą wyrabiającego się, by nie było—gdzieżby się podziała zasługa, którą on zasługiwa się w *czasie?* Czymże ona, jeśli nie życiem tym jego w historji, jeśli nie tym ciągiem pracy, podzielonej na momenta śmierci i z martwych z niej wstawania? A jakżeż się umiera, jeśli się nie zwątpi? A jakżeż się

zmartwychwstaje, jeśli się nie uwierzy? By nie umrzeć, na to Bogiem być trzeba—człowiekiem na to, by umierać. Gdy Boży Duch połączy się z naturą człowieka, życie Boże grób ludzki rozwala—Chrystus umarł i wstał z martwych.

I w epoce, wszczętej w słowie Jego, tak samo uczynić potrzeba, nim zdoła czynem treści całej tego słowa dorównać; - otóż ojcowie nasi stali na tej pochyłości, co wiedzie do grobu—nas dalej już losy zaniosły i głębiej złożyły—my w grobie—mylę się—my już za grobem!

Wszyscy wiecie to, bracia moi, żeśmy się urodzili na łonie śmierci—i od kolebki oczy wasze wzwyczajone poglądać na sińce zgonu, rozciągające się po ciele europejskiego świata! Stąd ból wieczny, co toczy wam serca — stąd niepewność, co życiem waszym się stała. Idziecie, a nie wiecie dokąd—i nie modlicie się już, jak za dawnych lat, jedno powtarzacie: *«źle nam jest»*. Lecz wszelki koniec mieści już w sobie następny początek—dzień zgonu tylko poprzedza godzinę przebudzeń. Alboż wy nie wiecie, że to chrześcijańska wiara — a jakożby miała

omylną być, kiedy z Boga jest? Więc patrzcie uważnie, a znaki śmierci przemienią się wam nagle w znaki zmartwychwstania!

Nikt średnich wieków nie nazwie cywiliżowanemi — nikt naszego aż dotąd religijnym; — cywilizacja się poczęła w chwili, gdy wiara konała — cywilizacja jest to jedność materjalnego bytu, jest to wspólność interesów ziemskich, czekająca na zjawienie się Słowa Bożego. Patrzcie! jak rosła i ugładzała wszystko, na to, by idące Słowo Boże łatwiej się rozlało, prędzej się udzieliło z domu do domu, z kraju do kraju! Czymże Napoleon, jeśli nie tym drugim w historji aniołem, co usuwa zawady z drogi Pańskiej, gdy już blizka godzina Pańskiej podróży? Państwo jego uniwersalne rozwiało się, jak złudzenie — on umarł na dalekiej wyspie, a syn jego jedyny w stolicy nieprzyjaciela. Bracia pozostali i ród ich miernością;—gdy pomrą te ciała, nie zostanie śladu, że za życia każde z nich nosiło królewską koronę — a jednak mimo to, pamięć tego człowieka, nie pamiątką po umarłym, ale duchem żywym

i coraz potężniej żyjącym jest! Co on pchnął do biegu, to teraz dalej się toczy—co ta dłoń na chwilę wszechmocna spoiła, to samo przez się coraz ściślej się spaja i wiąże. Zapoznane ludy już się nie odpoznają — skupiony razem duch giermański już się nie rozprzęże — włoski toż samo i hiszpański toż samo! On narodowości ziemskie przebudził z uśpienia.

Chrystus objawił ludziom ideę ludzkości. Przed nim prawdziwych narodów, oprócz hebrajskiego, nie było: bo nie znano celu, do którego dążą narody, ku któremu ciężą, jak planety ku słońcu. On to obiecał, że będzie na świecie kiedyś jedna tylko owczarnia i jeden pasterz; on to przykazał modlącym się do Ojca powtarzać codzień te słowa: «*Przyjdź Królestwo Twoje*» — i takim westchnieniem od lat dwuch tysięcy, my wszyscy prosimy Boga o uwidomienie się ideału ludzkości na ziemi!

Nic w nas naszego niemasz—wszystko od Stwórcy, myśl i ciało—Bóg nam niejako pożyczył nas samych. Naszym jedynie użytek, jaki czynimy z tych u-

dzielonych nam zasobów; naszym tylko czyn nasz, zasługa, którą stajemy się tym, czym mamy pozostać kiedyś w obliczu Boga, którą dopracowujemy się rzeczywistej i ostatecznej osobistości naszej. Lecz ona tylko na ziemi, tylko śród ludzkości położoną być może: ludzkość zatym, śród której zarabiamy na wieczny, przyszły żywot nasz, musi być sama wielką i świętą w Bożym pomyśle harmonją, a nie znikomą marnostką bez wagi i celu! Ludzkość na planecie i nieśmiertelność każdego osobnika za grobem są to dwa okręgi równe sobie, posługujące się nawzajem, nie dające się rozdzielić sercem ani rozumem; każden drugiego pobocznicą, warunkiem, dopełnieniem, a oba zlewają się w trzecią, wyższą samego Boga potęgę!

Lecz czymże jest planetarna ludzkość? Oto całością, i jednością wszystkich możności ducha człowieczego, wyrażoną widomie na tej ziemi przez zgodę i miłość członków swoich: to jest *narodowości*. Jako albowiem członki ciała ludzkiego są widomemi i rozmaitemi cząstkami niewidzialnego *Ja* ludzkiego,

które je wszystkie spaja i im wszystkim panuje, tak samo narodowości widome muszą w rozmaitości swojej a zarazem harmonji, stać się kiedyś żywemi członkami powszechnej, że tak powiem, katolickiej ludzkości:

«A wszystko sprawuje jeden i tenże Duch, udzielając każdemu zosobna jako chce.»

«Albowiem jako ciało jedno jest, a członków ma wiele, ale wszystkie członki ciała jednego, choć ich wiele jest, są jednym ciałem, tak i Chrystus!»

Św. PAWEŁ, List I. do Koryntjan, R. XII, w. 11—12.

Objawienie Syna Bożego musi więc przechodzić wiekami ze stanu idealnego do stanu uwidomienia i rzeczywistości; na takim ruchu postęp zasługi ludzkiej, postęp człowieczeństwa zależy.

Słowo Chrystusowe nie mogło odrazu przetwarzać polityki pogańskiego świata, bo skład polityczny i byt społeczny epoki jakiej zależy oczywiście od stanu moralnego indywiduów[27] w niej żyjących i musiało zatym *schrześcijanić* szczególne dusze przed chrześcijanieniem stosunków między narodami i państwami!

Ale za dni naszych, osobnik każden chrześcijaninem jest i wszystkie stosunki między niemi chrześcijańskiemi są. Gdzież dalej iść idei chrześcijańskiej? Oczywiście w sferę niedotkniętą, nieprzerobioną dotąd, a tą jest sfera polityki. Świat blizki, nie wielkiej odmiany (bo nic ze słów Chrystusowych odmienić się nie może), ale wielkiego *przemienienia* się ich, głębszego zrozumienia ich, wyższego ich uwielbienia! Już w tych wyrazach: «Oddajcież tedy co cesarskiego cesarzowi, a co Boskiego Bogu», zawarty jest cały dalszy ruch człowieczeństwa. Bo ponieważ wszystko *Bożym* jest, musi stan rozdziału owego chwilowego między właścią Cezarową a Bożą, coraz bardziej się zmniejszać, i to, co jeszcze wczoraj liczyło się za własność Cezarowi, dziś być już policzonym za należne Bogu: aż stanie się państwo Cezara nicością, a Królestwo Boże *wszystkim*.

Świat już dzisiaj pojmuje, ku czemu garnie się historja; wie, że nią rządzi mądrość Boża i że celem jej jest ludzkość czyli cała powszechność zgodna z wolą

Bożą, znająca i wypełniająca prawo, które Bóg jej nadał! Środkami zaś do tego celu, narzędziami, członkami żywemi są *narodowości*, w których odbiły się, jako w najwyższym swoim rozkwicie, wszystkich plemion ludzkich różnice. Czym nuty w akordzie, tym one w człowieczeństwie, rozmaitością i zgodą zarazem. Bez nich niepodobna pomyśleć ludzkości, bo byłaby to wtedy jedność bez rozmaitości, a zatym właściwie nie żadna jedność, tylko martwa jednostka!

Państwa są utworu ludzkiego; są zbiorem przysypkowym cząstek. Jedne narodowości są kreacji[28] Bożej i dlatego właśnie nie państwa bez narodowości, ale narodowości upaństwione jedne tylko mogą być chrześcijańskiemi, czyli należeć do składu powszechnej ludzkości. Już w średnich wiekach taki wysoki ideał byli pojęli papieże—i oni zapragnęli wszystkie stosunki polityczne uchrześcijanić w Europie. Była jednak w ich pomyśle ta niedokładność, że pojmowali raczej zwierzchnictwo Kościoła nad świeckim bytem, aniżeli pojednanie się zupełne Boskich rzeczy ze świeckiemi,

woli Bożej z ludzką wolą. Ich ideał też rozsypał się. Kościół został na jednej stronie, polityka odbiegła na drugą—i od czasów Reformy zupełnie pogańską się stała.

Tu machiawelizmu, tu dyplomacji[29] początek: interes ziemski ubóstwiony, Boże królestwo ścieśnione do progów kościoła każdego. Za murami przybytku Wszechprzytomnego Boga już niema—umarli tylko śpią na cmentarzu—a dalej na bitych drogach świata stoją żywi — wojskowi, ministrowie, kupcy; pod niemi zaś — ucisk i niewola, albo bunt i zwierzęcy szał!

Wszystkie państwa na przekór narodowościom się tworzą; wszystkie państwa są rozćwiertowaniem jednej lub kilku narodowości na korzyść martwego ideału gabinetowego. Idea Chrystusowa, idea wszechmiłości zapomniana i gwałcona co krok; nigdzie jednak tak antychrystycznie jak rozbiorem Polski!

Trzy państwa wzrosłe nie według praw Bożych, oparte li tylko na interesie samolubnym, na dyplomacji, słowem na tym, co zowie się polityką, rozdzierają

narodowość żywą, czyli jednego ze członków widomych ludzkości! Tym czynem polityka przesięga za własne granice.

Dziecko, kto mówi, że to polityczna zbrodnia — zbrodnia to daleko głębsza, bo religijna, bo przekraczająca za sfery świeckie i dotykające okręgów Bożych. Państwo utworu ludzkiego, państwo z gry chuci ludzkich powstałe rozszarpać, byłoby to polityczną zbrodnią, ale narodowość świętą rozebrać i chcieć zabić, kiedy bez niej obejść się nie może urzeczywistnienie idei ludzkości na ziemi, jest targnięciem się przeciwko prawdzie Bożej — prawdzie wiecznej: jest świętokradztwem! Tak samo jak z drugiej strony — nieuznanie tego gwałtu, opieranie się tej bezbożności: jest religją!

W chwili rozbiorów stało się to jako *factum*[30], ale duch Polski dopiero teraz wsumienił się w siebie, nabrał świadomości o sobie, uczuł się narzędziem wybranym w historji do posunienia jej postępu dalej. Inaczej być nie mogło—

prawo Boże albowiem, skaleczone i obrażone na tym świecie, musi mieć wnętrzną siłę wyleczenia się z rany zadanej i wrócenia do właściwej postaci! W narodowości, której krzywdą najsroższej ludzkość pogwałcona — najsilniej zadrgnąć musi, najjaśniej zabłysnąć—idea ludzkości.

Płciowość, polarność, jest prawem powszechnym, prawem jednym i wszechobecnym tak w naturze, jak w duchu, tylko że pod coraz wyższemi kształtami się objawia; naprzykład, biegun dodatni i ujemny w galwanizmie, planeta i słońce w porządku kosmicznym, mężczyzna i niewiasta w rodzie ludzkim, myśl i ciało w człowieku. Prawo to na tym zależy, że jedna i taż sama siła w naturze lub idea w duchu, objawia się na dwuch ostatecznych końcach swoich niby to sprzecznie, a wtedy między temi dwoma końcami powstaje działanie i oddziaływanie ciągłe, czyli ruch i życie tejże siły, tejże idei. W stosie galwanicznym z bieguna dodatniego wypadająca iskra gdzież leci? w biegun ujemny! Mężczyzna do

kogoż się ma, w kim się odbija? w niewieście! Myśl czym się wyraża? ciałem! Zawsze jedna połowa posługuje się drugą, przewciela się w drugą, na to by *całość* istnieć mogła.

W podobnym, analogicznym stosunku dzisiaj mają się do siebie—nadchodzący postęp historji i Polska;—koniecznym pierwszego warunkiem drugiej zmartwychwstanie! Gdzież więc musi najwierniej odbić się świadomość tegoż postępu? gdzież najżywiej zajaśnieć przewidzenie tej przyszłości? zaprawdę, że w Polsce.

Trzeba było śmierci naszej; trzeba będzie naszego wskrzeszenia — na to, by słowo Syna człowieczego, wieczne słowo życia, rozlało się na okręgi społeczne świata. Właśnie przez naszą narodowość umęczoną na krzyżu historji, objawi się w sumieniu Ducha ludzkiego, że sfera polityki musi się przemienić w sferę religijną—i że kościół Boży na tej ziemi to nietylko to lub ono miejsce, ten lub tamten obrząd, ale cały planeta i wszystkie jakiekolwiek być mogą stosunki tak osobników jak narodów między sobą!

„Domini est terra, et plenitudo ejus orbis terrarum et uniwersi, qui habitant in eo." (PSALM. 24—1).[31]

Oczywiście, tu nastąpi w sumieniu ludzkim rozszerzenie obecności Bożej. Pan, w całej sferze politycznej, kędy dotąd go nie było, przytomnym się stanie; a narzędziem jego Opatrzności do tego nikt inny—jeno naród polski.

Jedno z dwojga — albo święta przyszłość ludzkości przepada, albo warunkiem jej dopełnienia się jest życie Polski. Słowo jedyne, słowo Chrystusowe, albo żadnych dalszych owoców nie wyda, albo gwałt zadany temu świętemu słowu dalej trwać nie może. Taką jest prawda, ale prawda nie już interesu świeckiego, jeno Bożego — przeto nazywam ją religijną! Ona musi ściślej jeszcze połączyć *(religare)* ziemię naszą z niebem!

Niechaj się o niej sumienie każdego Polaka przekona, niech pojmie myślą, co dotąd czuł sercem tylko, a zrozumie i wierzyć będzie, że tylko przez Polskę zdoła się zasłużyć na ziemi i zbawić du-

szę nieśmiertelną, bo tylko w Polsce i przez Polskę, zacząć się opatrznie może nowy okres w dziejach świata. Od tego zaś postępu zależy coraz wyższe dopełnianie się Objawienia Chrystusowego w ludzkości!

Dnia 17 marca 1843 roku.

Z ojców mych ziemi przez wroga
wygnany,
Deptać musiałem obcych ludzi łany,
I słyszeć zdala tych szatanów wycia,
Co ziemię moją okuli w kajdany;
Jak Dant[32]—przez piekło—przeszedłem
za życia!
Z razu jam ufał, że Bóg miłosierny,
Na pyszne pyszny, ale wiernym wierny!
Z razu jam ufał, że za dni niewiele
Zlecą zesłane anioły mściciele
I grób ten pęknie, co stoi wśród świata,
Przyparty ręką olbrzymiego kata!
Lecz dni płynęły, upłynęły lata,
Darmo brzask walczył z ślepą nocy siłą,
Nie weszło słońce nad świętych mogiłą,
I coraz podlej na tej ziemi było!
Więc duch mój upadł w tę próżnię
zwątpienia,

Gdzie światło wszelkie w noc wieczną
się zmienia,
Gdzie trupem gniją arcydzieła męstwa,
Gdzie gruzem leżą wiekowe zwycięstwa,
I z dni tych wszystkich wybranej kolei
Wyrasta napis: «*Tu niema nadziei!*»

Ach! żyłem, żyłem w tej przepaści długo,
Miotan rozpaczą bezbrzeżną i wściekłą!
I śmierć mi będzie tylko śmiercią drugą:
Jak Dant—za życia—przeszedłem przez
piekło.

Lecz i mnie także zbiegła w pomoc pani,
Której się wzroku czarne duchy boją;
I mnie też anioł wybawił z otchłani,
I ja też miałem Beatryczę[33] moją!

O równie piękna! nad planety ciemnie,
Nie wzniosłaś skrzydeł twoich precz
ode mnie,
By zasiąść w niebie — bez bólu —
niebiańska!
O równie piękna! i bardziej chrześciańska!
Tam gdzie ból rośnie, tam gdzie łza się
plemi,
Tyś z bratem twoim została na ziemi!

W jednych my cierniów chadzali koronie,
Krew moich dłoni krwawiła twe dłonie,

I z jednych trucizn piekielnego zdroja
My pili razem, o Beatriks moja!
A jednak, jednak mój jęk, twe
westchnienia
Zmieszane, zlane, przebrzmiały na pienia!
Z dwuch smutków w duszne spojonych
zamęście,
Wzbił się głos jeden — a tym głosem
szczęście!
Ach! szczęście wiary, ach! nadziei siła
Co w serce moje, przez wzrok twój,
wróciła!

Tak chmury ciemne, pełne łez na niebie,
Gdy w nadpowietrznym zetkną się
pogrzebie,
Z ich płaczu, światło wypada wnet
gromem
I mgła się staje złotym Boga domem!
Pieśń tę więc zacznę, siostro, twym
imieniem!

O! bądź na wieki ze mną połączona
Jednych pamiątek i uczuć pierścieniem!
My tu skonamy, lecz pieśń, co nie kona,
Powróci kiedyś, wierna mnie i tobie,
By jak stróż anioł, strzec nas śpiących
w grobie!

A może przyjdzie chwila, że wskrzeszeni

W czasie dusz wszystkich, nie już w ciał
przestrzeni,
Wstaniem jej dźwięków znów spójni
łańcuchem;
I żyć będziemy w serc ludzkich pamięci,
Jak duch zbawiony ze zbawionym
duchem,
Oboje czyści, świetlani i święci!

Czy pamiętasz nad Alp śniegiem
Rozwieszone Włoch błękity!
Nad jeziora włoskim brzegiem
Czy pamiętasz Alp granity?
Tam — zdaleka — w niebo przodem
Pną się ostrza kryte lodem,
A tu bliżej, a tu niżej
Po za wzgórzem spływa wzgórze,
Z winnic kapią bluszcz i róże!
Jednym rajem gór podnóże!
W wieczór, z rana — zwierciadlana
Fala pije niebios smug!
Na wód dole — na skał czole —
Jedna piękność — jeden Bóg!
Widzę jeszcze, widzę ciebie!
Z harfą stoisz na mej łodzi.
Gwiazd już kilka drży na niebie,
Z nad Alp szczytu księżyc wschodzi!
Widzę jeszcze, widzę ciebie:

Na twych strunach twoje dłonie,
Iskra natchnień skrzy ci z lica,
Światłokręgiem twoje skronie
Rozanielił blask księżyca!
W fal przezrocza, w sieć z promieni
Zewsząd postać twa ujęta,
Na błękitnym tle przestrzeni
Całaś srebrna — wniebowzięta!
Nabijaną światłem drogą
Łódka moja zwolna płynie;
Jakże lubo, jakże błogo
Na szafirów tych głębinie!
Za jeziora przezroczami
Majaczeją[34] wzgórza, skały,
I ty ze mną i my sami,
I tak piękny świat ten cały!
Nabijaną światłem drogą
Coraz dalej łódź ma płynie;
O! anieli czuć nie mogą,
Co ja czuję w tej godzinie!
Takim silny, takim dumny,
Siostro moja! mnie się zdaje,
Że w tej chwili — ze snu trumny
Nasza *Święta*[35] gdzieś już wstaje!
Coraz dalej twarz miesiąca
Nas prowadzi smugiem fal,
Płyńmy, płyńmy tak bez końca

W ciszę—w jasność—w błękit—w dal!
Wód zwierciadła, gór widziadła,
Ziemia, niebo, jeden kraj!
Rzeczywistość się pomału
W świat przemienia ideału,
W sen ze srebra i kryształu!
Daj mi teraz marzyć, daj!

. . . . . .

. . . . . .

Bądźmy dumni, mój aniele,
Bo nim zstąpi cud i zbawi
Tych, co w dawnym drżą kościele,
Nam zwątpienie serc nie krwawi.
Nam nie brudzi czoła trwoga;
My podnosim wzrok nasz w górę
I gdy widzim tę naturę,
W niej i za nią czujem — Boga!
My w natchnieniu wspólnych marzeń,
Gnani wirem smętnych zdarzeń,
Idziem, kędy wiedzie droga!
Lecz w tej zmiennej życia męce,
Gdy ściśniemy sobie ręce,
W niej i za nią czujem — Boga!
My zabitej matki dzieci,
My, co nigdy nie widzieli,

Jak się matki oko świeci
I nad dzieckiem swym anieli;
My z mogiły naszej rodem,
Po niej wiecznie krwawym chodem
Jak upiory stąpać musim!
Jednak w każdej życia dobie,
Za tym grobem i w tym grobie,
Wiarą w niebo — niebo kusim!
Pozywamy na sąd wroga,
Bo dzień sądu w piersiach nosim.
I ufamy, że wyprosim
To co boskim jest — u Boga!
Módl się ze mną, moja siostro!
Módl się, klęknij tu w pokorze;
Lecz patrz w górę śmiało — ostro,
Jak sierota spojrzeć może!
Wpatrz się w harfę tę bez końca,
W której księżyc, gwiazdy, słońca
Tkwią jak śruby niewzruszone;
A od dołu aż do szczytu
Struny z światła i błękitu
Drgają, w bezmiar naciągnione.
Po tych strunach Duch przelata,
Na tych strunach Duch przegrywa
I w tej pieśni sam spoczywa:
Ta pieśń — zgodą — ciszą świata!
Słuchaj! w dźwięków tych wszechzgodzie

Brak jednego dziś imienia!
Patrz, w tych świateł wszechpogodzie
Brak jednego dziś promienia!
Módl się ze mną, wymów imię,
Co wypadło z lutni życia:
Wskaż tę gwiazdę, która drzemie,
Lecz nie zgasła w dniu rozbicia!
Wymów, wymów *Polski imię.*
Może słucha nas Duch Boży,
I stracony dźwięk ten przyjmie,
Znów do pieśni świata włoży!
Módl się ze mną, módl się śmiało,
I spokojnie i bezpiecznie!
Jak Bóg w niebie — tak koniecznie
Bóg nas wcieli w drugie ciało!
Bośmy w żadnej zgonu chwili
Ducha nigdy nie stracili.
Próbę grobu my odbyli.
Prawem naszym — *zmartwychwstanie.*
Dziś lub jutro, dasz je, Panie!
O! dasz w Swej sprawiedliwości,
Nie coś winien nam — lecz Sobie!
Bo któż w naszym wyżył grobie?
Kto nam dotąd w piersiach gości?...
Nikt na ziemi — oprócz Ciebie!
Żadna inna moc ni siła,
Jedno Twoja się zjawiła

Tu — po naszym, w nas — pogrzebie!
Twoja wszechmoc tylko, Boże,
Cośmy znieśli, przetrwać może!
Twej potęgi tylko chwała
Tak jak Polski — jest bez ciała!
Duch Twój tylko jeden zdoła
Nie zatracić — w śmierci Siebie.
Więc gdy dzisiaj z ziemi woła,
Ty odpowiesz mu na niebie!
Gdym tak mówił, tyś uklękła,
Strunnym jękiem harfa jękła,
Bo o struny, które w koło
Porozzłacał blask miesiąca,
Tyś oparła śnieżne czoło!
I tak klęczysz wzdychająca!
Z za tej kraty strun — twe oko
Patrzy mglisto i głęboko.
Na twych ustach słów już niema,
Tylko jedno drżące tchnienie
Całość duszy na nich trzyma!
Módl się, siostro, módl westchnieniem;
Bóg wie dobrze, że westchnienie
Dziś ojczyzny twej imieniem!

My umarli pośród świata
Z świętej do świata miłości!

On nam bratem — zbawić brata
Trzeba było z win podłości.
Przyjąć na się — nie grzech — karę!
My przyjęli — i widziano
Śród narodów Polski marę,
Zstępującą w grób na trzy dni!
Dnia trzeciego się rozwidni
I na wieki będzie rano!
Ha! myślicie, że kto kocha
I umiera, ten już ginie?
Dla ócz waszych, dla ócz z procha,
Lecz ni sobie, ni wszechżyciu!
Kto w poświęceń zmarł godzinie,
Ten się przelał w drugich tylko!
Mieszka w ludzkich serc ukryciu,
I z dniem każdym, z każdą chwilką
Żywy rośnie w tej mogile!
Jak uczynił Bóg, co w niebie,
Daje wszystkim, daje Siebie,
A nie traci na swej sile!
Musi długo, niewidzialny,
Lecz w serc głębi wciąż słyszalny,
Palić ogniem serc tych skazy,
Miękczyć łzami dusz tych głazy,
I przez grobu męki, trudy,
Harmonijną pieśnią śmierci,
Choć rozdarty sam na ćwierci,

W jedną miłość spajać ludy!
Ha! wy dziwnie tu marzycie!
Wam śmiertelnym się zachciało
Nieśmiertelnych zabić życie!
Raniliście tylko ciało!
Śmierć i miłość — wy nie wiecie,
Że to jedno w duchów świecie?
Wy, w piekielnej już topieli
Wyżej piersi zanurzeni,
Z Boga tylko to pojęli,
Czym objawił się w przestrzeni!
Myśl, co w mózgach waszych gości,
Myślą tylko ciał martwości!
Tu z was każden jak morderca
Chce pozbawić ludzkość — serca!
I kościotrup po niej nagi
Rządzić prawem równowagi!
Rozdajecie, jak świat wielki
Wszystkim więzy albo sidła!
Nie tak — nie tak — bo duch wszelki
Ma w anielskie poróść skrzydła!
Wiecznotrwały ten na ziemi,
Kto swą śmiercią życie plemi!
Lecz kto życiem swym — śmierć daje,
Ten, gdy skona — już nie wstaje!
O wy nizcy, o wy ciemni,
I okrutni i nikczemni!

Wy, przewiędłe w nicość dusze,
Bez ducha faryzeusze!
Wy, kuszący piorun Boży,
Aż was w prochu tu położy!
Wy szpiegowie i wy katy,
Z wypranemi od krwi szaty;
Wy, półśrodków sztucznych pany,
Co kładziecie żar na rany,
A gdy jęknie wam męczennik,
Ogłaszacie mu — że zmiennik:
Kłamcy wieczni z prawem waszym,
Czy z kupiecką zysku szalą,
Czy z bagnetem i pałaszem;
Wy, bożyszcza — którym palą
Dym kadzidła dzieci trwogi;
Ziemia waszym struta jadem,
Wyście tylko ziemi — gadem,
Choć się macie za jej bogi!
Nie znam na was hańby słowa!
Nie że język mój ubogi,
Lecz że boską ludzka mowa!
Nadto piękna — czysta — święta,
Bo z anielskich krain wzięta —
By was nazwać po imieniu!
Jabym rzucił w grzmiącym pieniu
Wam serc wszystkich wszechprzekleń-
I jak zemsty jędza wściekła [stwo!

Gnał was biczem żmij do piekła,
Starł wam z czoła człowieczeństwo!
Bladych, krwawych, skutych w pęta
Stawił w wieków sądnym kole,
By wydeptały na czole
Wam nadgrobek ten — «zwierzęta!»
Ale w duchu jest pogarda,
Co ma także swe panieństwo,
I gdy gardzi — nadto harda,
By znamiętnić się w przekleństwo!
Co zalewasz się tak łzami,
Co tak patrzysz bezprzytomnie?
Siostro moja! wstań, chodź do mnie,
Prawda z Polską — Polska z nami!
Nie klęcz więcej, spójrz wesoło —
Skroń mi oprzej na ramieniu;
Niechaj widzę twoje czoło,
Przebóstwione w mym natchnieniu!
Nim ten księżyc już ponury
Zstąpi całkiem za te góry,
Nim te gwiazdy się dopalą,
Nim powróci promień słońca
I przeminie czar, co trąca
Piersi moje nad tą falą:
Niech ci wyższy cud obwieszczę
Nad uciski, nad boleści!

O aniele mój niewieści,
Słuchaj jeszcze... słuchaj jeszcze!...

Znasz ty miłość, która nęci
Wiecznie duszę w kraj pamięci?
Czy po nocach ciebie woła
Rodowego krzyk anioła,
I twym oczom patrzeć każe
W dawno zmarłych żywe twarze?
Znasz zimowy step ten głuchy,
Gdzie śpią w grobach ojców duchy?
Gdzie w powietrzu twarz księżyca,
Jak trupiego widmo lica:
I gwiazd niema — tylko ona
W środku niebios niewzruszona!
W jej promieniach przestwór cały
Znicestwiony, skamieniały.
Kędy spojrzeć, na wsze strony
Zaspy — śniegi — lody — szrony.
Strach, jak biało — pusto — marno!
Groby tylko z głazu ryte,
Żadnym śniegiem nie pokryte,
Śród tej bieli stoją czarne!
A gdy wspomnień tajna wola
Myśl twą rzuci na twe pola,

Zda się tobie, że bez końca
Po nich błądzisz nocną dobą
I że wisi wciąż nad tobą
Ten przejrzysty trup miesiąca!
A za każdym twoim krokiem
Rozszerzają się te niwy —
Nieskończoność przed twym wzrokiem —
I nad głową — ten straszliwy
Krąg ci niebios także rośnie!
Coś pod ziemią brzmi żałośnie,
Cały cmentarz drga jak żywy,
Z grobów wieją modły — jęki!
Głucho dzwonią gdzieś pałasze,
Twardych zbroic słychać brzęki,
Jakby dotąd ojce nasze,
Pomne życia — tęskne chwały,
Tam się w trumnach przewracały
Z boku na bok — i marzyły
Mękę Polski w snach mogiły!
Nie! co znikło, nie umiera!
Jak zaklęte czarem bóstwo,
Przeszłość wraca w jawu kraje!
Patrz! grób każden się roztwiera,
Umarłego ci oddaje.
Antenatów[36] blade mnóstwo,
Dawne króle, radne pany
I rycerze i hetmany

Obwiązują cię dokoła.
Cmentarz z lodu i z kamienia
W sejm — w zjazd — w Polskę się przemienia!
Zgon się darmo wrył w te czoła;
Choć wzrok próchnem błękitnieje,
Znać w nim wiarę i nadzieję!
Patrz, z pod rdzawych tych szyszaków,[37]
Z pod tych koron i kołpaków
Bije dotąd iskra ducha,
Senatorska tli wspaniałość,
Lwi się szlachty stara śmiałość
I niewoli wzgarda bucha!
Jam ich widział i szlochałem!
Na tej białej snów mych ziemi
Jam ich widział — i przed niemi,
Tak jak pada trup, padałem!
Na ich stopach kładł ja skronie
I podrywał ku nim dłonie!
Tam łzą — krzykiem — sercem całem
O zgon Polski ich pytałem,
Ja, urodzon po jej zgonie.
Za co życie w życia chwili
Z taką pychą roztrwonili,
Że potomkom nie zostało
Ni potęgi, ni puścizny,
Jedno wzamian ich ojczyzny

Rozebrane kraju ciało?
Co ich wichrem takim gnało
Po dziejowej czasu fali,
Że tak dbając o nas mało,
Krew nam i w tej krwi—śmierć—dali!
Ledwom spytał, ich zbroice
Zagrzegocą[38] w głuchy dźwięk,
Z wszystkich piersi wypadł jęk;
Wszystkie zmarłe te źrenice
Z pod tych przylbic — jak gromnice
Płoną ku mnie — razem, górą
Wszystkie wzbiły się prawice,
Przesłoniły księżyc chmurą!
I tych bladych rąk sklepienie
Drży przysięgą potajemną,
Na słów moich zaprzeczenie
W niebo rośnie ponade mną?
Tak jak rosa z polnych kłosów
Pot mi trwogi ścieka z włosów,
A na piersiach zmora siędzie;
Ni odwrócić mogę wzroku;
Tu — przede mną — za mną — z boku,
Oni stoją tłumem wszędzie!
Zewsząd słyszę ich oddechy
I pogardy słyszę śmiechy.
Patrzą na mnie ci umarli,
Jak półbogi — a z ich lica

Patrzy wieków tajemnica,
I z nich każden ją rozumie,
Więc mną gardzą w świętej dumie.
Aż pogardą mi rozdarli
Serce — i serce ze stali,
Gdy tak śmiechem mi łajali,
Pękłoby — o tej snu porze
Ach! pamiętam strasznie smętno!
Więc jak mogę, tak się korzę,
Aż znów zerwie się namiętno
Duch mój—krzyknę: «O ojcowie!
«Zdejmcie ze mnie wasze gniewy;
«Kto na świecie mi tym powie
«Prawdę świętą, jeźli nie wy!
«Jam was przyszedł pytać o nią,
«Odpowiedzcie więc synowi:
«Niech się Polska wasza dowie,
«Że jej duchy wasze bronią.»
Wtedy hetman,[39] co przy grobie
Oddalonym zwykle trzyma
Na szablicy ręce obie,
Żadnych pętlic złotych nie ma,
Ni turkusów w buzdyganie,[40]
Jedno pancerz za ubranie;
A na rysiej z wierzchu skórze
Miasto haftów — kul przestrzały —
I na licu — blizny duże —

I na czole — hełm nie cały!
On wódz zmarły, co tam zawsze
Na mnie oczy ma łaskawsze,
Choć z nich wszystkich najbutniejszy
I z nich wszystkich najsmutniejszy;
Jak stał cichy i ponury,
Nagle czoło wzniósł do góry,
Wyprostował się ogromnie
I szedł jęcząc zwolna do mnie.
Jam znów przykląkł — i wzwyż głowy
Usłyszałem głos grobowy:
«Ani z soli, ani z roli,
«Ale z tego, co mnie boli
«Ja wyrosłem — i snać, tuszę,[41]
«Że ból tylko, tam na świecie
«Kiedyś pysznych w piekło zmiecie.
«Komu dawa Pan katusze,[42]
«Obietnice temu składa!
«Słowo Pańskie — żadna zdrada,
«Ono musi zbawić duszę!
«Jakie lądy, jakie morza
«Jam zbiegł niegdyś — wiedzą ludzie!
«Za dni moich źle już było;
«Jak się mogło tak służyło
«Szczerą chęcią, w krwawym trudzie
«Braci szlachcie. — Łaska Boża
«Nas wegnała w te bezdroża:

«Niechaj będzie pochwalona!
«Bo ojczyznie mojej dała
«Z piekieł ziemskich wynijść łona,
«Nie żyć w innych ludów modle,
«Raczej umrzeć—jak żyć podle;
«Za to Panu wieczna chwała!
«Ty nie szukaj w ojcach winy,
«Ty nie wdawaj się w szyderstwo!
«Bo to potwarz i bluźnierstwo!
«Azaż[43] ty wiesz, jak z godziny
«Dni się snują, jak z dnia wieki?
«Tylko zmarły—co w żałobie
«Tęskni, czeka, marzy w grobie,
«A nie żywy—wiedzieć może,
«Co czas blizki, co daleki,
«Co noc wieczna, a co zorze
«I co Boskiej znak opieki!
«Gdyby niegdyś ojce twoi
«Cudzoziemców świeckich chodem
«Weszli byli do podwoi
«Tego gmachu, który stoi
«Wkoło Polski, a dziś pada,—
«Bylibyście dziś, jak oni,
«Kramem tylko—nie narodem;
«Sklepem śpiącej pełnym broni:
«Wyście duchem, co nią włada!
«My nie mogli żyć w przeszłości,

«Bo my znali się za gości
«Innych wieków.—Wiecznie, wszędzie
«Przez roztwarte dziejów pole,
«Los nas pędził w wyższą dolę,
«Ku tej Polsce, która *będzie!*
«I przez ojców waszych życie
«Porywani dotąd skrycie
«Mimo wiedzy—wy musicie
«Ku królestwu iść Bożemu,
«Co ma jaśnieć na tym świecie:
«*My szli tamże po staremu.*
«*Wy dziś z młoda tam idziecie!*
«Jedną spójnią, w jednym duchu,
«Jak ogniwa na łańcuchu,
«Pan powiązał ojców z syny.
«Ni ten łańcuch kiedy pęknie;
«Wszystkim razem dobrze, pięknie!
«I z krwi naszej, z naszej winy,
«Nim ten jeszcze wiek przeminie,
«Wyjdzie *Ludów Lud jedyny.*
«Błogosławcie ojców winie!»
I umilka hetman mowca;
Znów wstecz idzie do grobowca.
Grobu głazy się rozwarły,
Śród czarnego ich przełomu
Ten umarłych wódz umarły
W granitowym znika domu.

I wnet w górze się roztrąca
Rąk nade mną mgła wisząca,
W oczach tają mi widm twarze—
Step się łamie — niebo kruszy—
Znów te wszystkie mi cmentarze
Zapadają w przepaść duszy!
Lecz drga w uchu, jęczy w duchu,
Jeszcze z rana głos hetmana;
Ze snu tego, rozwianego
Myśl ta jedna– nierozwiana!

Coraz smutniej już w przestworze,
Coraz czarniej na jeziorze!
Pogrzebowa z chmur przesłona
U gór szczytu rozwieszona—
I w nią księżyc spadł i kona!
Przebóg, siostro! co się dzieje?
To nie wiatru szum tak wieje;
Ktoś tam zcicha – płacze, wzdycha—
Z nad wybrzeży jęk się szerzy;
W nocnym wietrze, przez powietrze
Tysiąc jęków do nas bieży.
Już brzeg cały—wzgórza, skały
Brzmią modlitwy głuchej kołem:
Wielki Boże! czy być może,
Duchy ojców tu ściągnąłem!

Za wodami—tam przed nami
Jak sny lekkie—lekką zgrają
Na opokach się wieszają;
Jak płomyki—jak ogniki,
To się wznoszą, to zniżają!
Do strun, siostro! uderz w struny;
By ich łacniej pieśń zaklęła,
W akordowe graj pioruny,
Graj im: «*Jeszcze nie zginęła...*»
Harfą—głosem—płacz, proś, szalej!
Pieśń rodzinna, tu powinna
Przyprowadzić ich z oddali!
Widzisz, widzisz, usłyszeli;
Na ciemnościach tacy bieli
Z skał spływają już do brzegu!
Ot w powietrznym już pochodzie
Po tej czarnej kroczą wodzie,
Jak olbrzymie słupy śniegu!
Czy to cuda?
Czy to złuda?
Dźwięk po dźwięku
Skrzy ci w ręku;
Harfa cała
Tli i pała.
Każda nuta,
Z strun wysnuta,
Przestrzeń trąca

Gorejąca!
I wzwyż fali
Pieśń się pali,
Ku mar stronie
Pędzi—goni
I wciąż płonie
I wciąż dzwoni!
Przewodowo—zwolna—święcie
Przez to dźwięków rozbłyśnięcie
Idą, idą wszystkie mary;
Patrzaj, patrzaj, w dziwnej chwale
Wszyscy z trumien polskich rodem,
Idą—idą przez te fale
Chrystusowym do nas chodem!
Tam buńczuki,[44] tam sztandary.
Śnieżne pióra i korony.
Katolicki krzyż wzniesiony;
Wkoło herby—tarcze—znaki
I tłum szabel—i szyszaki
Przeciągają.—Patrz! tam żywa
Twarz z powietrza się wyrywa,
Twarz, czy widzisz, Anielicy!
Jak gwiazdeczka na ciemnicy
W górze, w górze zawieszona,
Wschodzi—weszła—tli—drga—płonie.
Ot! z błękitów i szkarłatów
Już otęcza ją przesłona!

Na tle z pereł, na tle z kwiatów
Djamentowa lśni korona...
W krzyż na piersiach zwite dłonie,
Złote gwiazdy na jej łonie;
Czy poznajesz ty, kto ona?
Witaj, witaj—to królowa—
Po swym ludu długo wdowa,
I dziś wraca w tej koronie,
Którą w polskiej Częstochowie
Niegdyś dali jej ojcowie;
I tych ojców przez te tonie,
Patrz! prowadzi
Nie graj więcej!
Z fal tych drugiej takiej tęczy
Nasza harfa nie wydźwięczy,
Ni te duchy tu przynęci!
Już ich tknęło światło Boże
I gdzieś śpieszą—zbrojnie—skoro.
Złotem wokół szklni jezioro,
Na ich hełmach błyska zorze;
W dawnym polskich bitew stroju,
Przebóstwieni--rozzłoceni,
Przesuwają się w przestrzeni,
Jakby znowu szli do boju!
Srebrne skrzydła w zbroję wtknięte
Im z nad ramion w górę lecą,
Jak anielskie skrzydła świecą;

Turkusami zbroje spięte,
Z żywej stali rękawice,
Strusie pióra wyżej głowy,
I dobyte do połowy
Damasceńskie[45] ich szablice.
Każden oczy ma wzniesione,
W przeanielską patrzy Panią,
I po falach stąpa za nią,
W nieskończoną jakąś stronę;
I miecz dławi w swej prawicy
Wyżej serca, na zbroicy,
Jakby miał się ku obronie
Tej lecącej w gwiazd koronie:
A królowa ta nie z ziemi,
Jak sen wije się przed niemi
Coraz dalej...
Pani! Pani!
Wszak z pomarłym sług plemieniem
Ty zstępujesz do otchłani
Po raz drugi zdeptać węża!
Wszak z nowego wieku dnieniem
Sprawiedliwość się odnowi,
I ty powiesz szatanowi,
Że lud polski twój—zwycięża!
Uderzyła łask godzina!
Znowu tobą i przez ciebie,
Myśl przedwieczna, żywa w niebie,

Żyć pod niebem rozpoczyna.
Płyńże, płyńże, Liljo Boża,
Po za lądy, po za morza,
Nad piekielne wzbij się jary!
Świeć im oczu twych spojrzeniem,
Niech przepada kłamca stary,
Który wieków był złudzeniem;
U stóp twoich on polęże,
A ci zbrojni polscy męże
W pierś mu wetkną miecz ze stali,
Podeptają w imię Boga
Odwiecznego ludzi wroga:
Wszakżeć na to z grobu wstali!
Wtedy, wtedy na tym świecie
Wzrosną życia kształty trzecie!
Wtedy, wtedy nam z powieki
Pan łzy otrze—i na wieki!
Wiem już teraz, o ojcowie!
Gdzie z królową tą w szkarłacie
Tak śpieszycie—przemijacie!
Ale czyjże głos mi powie,
Kiedy nazad z tej oddali
Na tę ziemię powrócicie;
By i żywi w złotym świcie
Z letargowych[46] trumien wstali!
Już daleko wy na fali!
Coraz dalej—coraz dalej

Ku wschodowi, ku jutrzence
Lśnią wzniesione wasze ręce!
Na te góry, na te brzegi
Dnia już padły jasne gońce;
Czerwienieją skał tych śniegi,
Mgła się płoni u wód końca,
Za nią pierwszy promień słońca!
I te białe ich szeregi
Idą prosto w to wschodzące
Wielkokrężne—złote słońce!
Płoną, mdleją, nieznacznieją,
Już ich niema—z tych topieli
Poszli w światło i zniknęli,
Poszli z światłem i z nadzieją!
Nic nie ujrzeć już w przestrzeni
Prócz lazurów i promieni!
Znów spokojna toń jeziora,
Znów te skały i te góry,
I to niebo, i te chmury
Tak jak zawsze—tak jak wczora!
Noc minęła—lecz z jej cieni
Wiara w piersiach się została!
Ni tej wiary los już zmieni;
Naszą, naszą przyszłość cała!
Chciałbym objąć te błękity,
Tych wód brzegi, tych Alp szczyty,
Ten widnokrąg objąć świata,

I przycisnąć świat, jak brata
Do mych piersi—bom szczęśliwy!
Wszystko moje, wszystko piękne—
Moje—ziemi, nieba niwy!
Z skał tych życia głos wydźwięknę,
Bo w mym sercu słowo Boże!
Wszędzie cuda—wszędzie dziwy—
Ja roztopię się w przestworze!
Ja ci mówię—żem szczęśliwy.
Polska moja—Polska *będzie!*
Dzięki wszystkim i wszystkiemu
W wieki wieków dzięki wszędzie
Bogu—duchom—ludziom—tobie—
I umarłym dzięki w grobie,
I każdemu, kto jest żywy:
Temu światu wszechcałemu
Wieczne, wieczne dziękowanie!
I powietrzu powiem: «Panie!
Dzięki tobie—bom szczęśliwy!»

Wszystko ludzkie znika—ginie—
Prysła ziemskich chwil zawiłość:
Myśl już pląsa w tej krainie,
Gdzie wszechświatło i wszechmiłość!
Z dusz się naszych wzbił duch trzeci,
Wyższy od nas—niepojęty—

Bo nam w piersiach wre i świeci,
A zarazem w górę leci,
Już z tych piersi wniebowzięty.
I w tej chwili przemienienia,
O pamiętaj! wspólnym wzrokiem—
Tej istoty trzeciej okiem—
Jej, nie naszym—my ujrzeli
Głąb rozkrytą przeznaczenia!
Czy pamiętasz? my widzieli,
Gdzie?—ja nie wiem, nie powtórzę—
Ni na dole, ani w górze,
Ni na wodach, ani w chmurze –
Lecz w bezdennej gdzieś topieli,
Gdzieś w odwiecznych świateł bieli,
W próżni—kędy się przed nami
Niewidzialne wskróś rozdarło,
Jak ocean się rozwarło
Ponad czasu przepaściami!
Oto nagle—tam—ujrzeli
Jak się Polska, Polska cała
Jednym widmem zmartwychwstałym
Archanielsko wielkim, białym
Z dni przyszłości wychylała
I na głębi dni tych stała,
Jeszcze widna—niby ciałem—
Lecz już w wieczność przebóstwiona —
Nieśmiertelna—nieskończona!

Jak blask słońca, tak jej lice!
I z błękitu ma źrenice—
A jej wzrokiem—błyskawice!
Nad jej czołem z krwi korona,
Wieniec wspomnień purpurowy;
Lecz już przeszły wszystkie bole
I duch Boży na jej czole—
Naokoło już świat nowy!
Na zerwanych jej kajdanach
Miecz u piersi zawieszony!
Na tym mieczu trzy korony,
Po trzech dawnych świata panach!
Choć już złego wiek skończony,
Na tej miecza rękojeści,
Oplecionej w trzy korony,
Rękę dotąd trzyma ona!
I ta ręka krwią znaczona
W Chrystusowy znak boleści,
I z tych koron czasem błyska,
I ta ręka wtedy ściska
Miecz olbrzymi—a z tej ręki
Na pamiątkę wiecznej męki
Krew w wieczności jeszcze tryska!
A tam za nią—tam, wysoko—
Tam, daleko—tam, głęboko—
Za nią w czasie i przestrzeni,
Na tłach z światła—na tłach z cieni,

I z stron wszystkich—wkoło, wszędzie—
Jak mgły w ogniu—w tęczach pary—
Zewsząd wstają Boże mary
Tego świata, który *będzie!*
Lecz już nie tak jasno-białe,
Mniej olbrzymie i wspaniałe,
Ni znaczone krwią przeszłości,
Bohaterską krwią męczeństwa,
Tą boskością człowieczeństwa
W znak królewski—śród ludzkości.
Wszystkie płoną pierwszym wschodem
I potęgi — i zwycięstwa —
Każda — wielkim jest narodem.
Ale tylko z niebios rodem,
A nie rodem z swego męstwa!
Młody listek ich wawrzynu[47],
Nie wywiodła ich z cmentarzy
Nad zgon wyższa wola czynu!
Ni im dano — czym śmierć darzy!
Bo, jak ojciec, grób ich skrycie
Nie wyuczył ścieżek Pana!
Wtóra mądrość im nie dana,
Pierwsze tylko dane życie!
Patrzaj! patrzaj! z chmur powodzi
Coraz więcej widm tych wschodzi;
Na ich skroniach róże wiosny —
Maj nadziei — maj żywota —

W ich spojrzeniach, cisza złota,
Na ich ustach hymn radosny.
A pod niemi drży w przestworze
Szafirowych świateł morze.
I tam wszystkie przechylone
Z szczytu wieków swych patrzają,
Wszystkie, wszystkie obrócone
W archanielskiej Pani stronę,
Coraz niżej się schylają!
Widzę — widzę! wzniosły ręce,
Rwą ze skroni życia kwiaty,
Rwą — ciskają życia wieńce
Pod jej stopy — na jej szaty!
Leci tuman róż w przestrzeni,
Na tym niebie każda róża
Nagle w iskrę się przemieni,
Wieniec każden tęczą tryśnie!
Spadająca kwiatów burza
W jedną zorzę się rozbłyśnie,
I w powietrzny płaszcz z promieni,
W karmazynu[48] wielką chmurę
Archanioła opierścieni!
Polskę moją — w jej purpurę!
Wszystkie, wszystkie duchy-ludy
Na szafirach swych dokoła
Pochyliły przed nią czoła
Jeszcze głębiej niźli wprzódy!

Rozkochane — zachwycone,
Widzę, widzę — już przyklękną;
W niej uznały Boże piękno,
Dadzą Jej świata koronę!
I przyklękły — i słyszałem
Głos co woła w wiecznym niebie:
«Jak im Syna niegdyś dałem,
«Tak im, Polsko! daję ciebie!
«Syn mój jeden był — i będzie,
«Lecz myśl jego żyje w tobie;
«Bądź więc prawdą jak on wszędzie;
«Ja cię córką moją robię!
«Gdyś do grobu zstępowała,
«Byłaś cząstką człowieczeństwa!
«Ale teraz w dniu zwycięstwa
«Imię twoje: *Ludzkość cała!*
«Ziemia tobie powierzona,
«Byś ją wiodła *czynu* torem,
«Aż się staną jej plemiona
«Jednym ducha arcytworem!
«Wzbij się w bezmiar nieskończony
«Nad ubiegłych lat padołem,
«Wtedy pójdą te miljony
«Za planety archaniołem!»
I ujrzałem archanioła,
Postać w bieli i purpurze
Z nad klęczących ludów koła

Podnoszącą się ku górze!
Obrócone wzwyż jej oczy,
Lecz ku duchów-ludów stronie
Wyciągnięte na dół dłonie —
I tak znika wśród przezroczy.
W tę porwaną patrzą postać
Rozklęczone duchów grona,
Już nie mogą w dole zostać,
Już się wzięły pod ramiona
Pojednane — połączone —
Wzbić się muszą tam, gdzie ona,
Wichrem Bożym poniesiona,
W coraz wyższą — wyższą stronę!
I zerwały się pospołu
Z szafirowych niw padołu
Za mą Polską, jak za słońcem,
Popłynęły już do góry.
Narodowe, ziemskie chóry,
Popłynęły tak jak chmury,
Opasane tęcz tysiącem!
I ujrzałem — wszechświat cały
Jak myśl jedną, która płonie
Skier miljonem w jednym łonie!
Ach! widziałem — Bożej chwały
Wszechprzytomny kształt bez końca!
Komet — planet — wiry,[49] kręgi,
Nad wstęgami gwiazd — gwiazd wstęgi,

Nad słońcami — jeszcze słońca!
Wszędzie światów, tak jak kwiatów,
W lazurowym tym ogrojcu;
I przez światła oceany
Jeden życia dźwięk rozlany,
Pieśń wszechgrzmiąca — wszechjedyna
Niebieskiego świata — Syna,
O niebieskim Bogu — Ojcu!
I przez wszechświat ten — do Boga
Szła narodów ziemskich droga;
I wciąż Polska moja przodem
W nieskończoność z ludzkim rodem
Tam leciała...!

Czyje oko
Ją dosięgnie tak wysoko?
Kto uderzy ziemskim czołem
Aż o stopy Stworzyciela?
Kto poleci z archaniołem
Tam, gdzie ludzkość się odwcziela:
Już mi w piersiach serce mdleje —
Obraz znika — myśl się chwieje.
Siostro moja! czym w mogile?
Mnie tak słabo, konająco —
O! jam prosił tak gorąco,
Jam się modlił Bogu tyle,
O tę jedną — jedną chwilę —
I ujrzałem!...

W tej godzinie,
O pamiętaj, żeśmy byli
Na najwyższej dusz wyżynie—
Tam, skąd źródło życia płynie;
My u źródła życie pili!
Oko nasze już chwytało
To, co jeszcze bez imienia;
My na wolność rozpętali
Z głuchych więzów przedstworzenia,
To, co jeszcze w nich drzemało,
I na chwilkę temu dali,
Co Bóg daje, kształt i ciało!
Siostro moja! my w tej chwili
Naszą wieczność już przeżyli.

Zrzuć więc smutek—zrzuć więc trwogę,
Daj mi rękę w jedną drogę!
Wiem, co trudu na niej jeszcze,
I co bólu—i co klęski;
Ale ufaj w czucie wieszcze:
Już nam błysnął świt zwycięski!
W tę Ojczyznę nieśmiertelną,
Mimo działów niepodzielną,
Na tę ziemię ukochaną,
Na tę naszą—naszą ziemię
Przyjdzie nowych ludzi plemię,

Jakich jeszcze nie widziano!
By pogodzić świata dzieje
Z wolą Pana ponad Pany,
Duch im prawdy z nieba dany,
I z ich starą krwią się zleje!
Gdzie nam dotąd śni się *mnóstwo*,
Cząstek rozdział lub rozbicie,
Tam już dla nich jedno Bóstwo,
Jedna miłość i wszechżycie!
Krwią się brzydzą—choćby winną!
Duch już przez nich tylko stwarza,
I gdy stworzy ziemię inną,
Niema na niej już zbrodniarza!
Niema także podrzędnicy!
Bo niewieście w końcu serce
Po lat długich poniewierce
Błysło z pączka tajemnicy!
Dawne pany biorą sami
Swe za dłonie niewolnice,
By jak duchy iść z duchami,
I wstępować na stolice!
Przemieniony ten planeta
Już zapomniał, co kobieta—
Wie, co bracia i siostrzyce!
I świat nowy ten radośnie
Jak świątynia panu rośnie;
W polskim kraju—w polskim raju—

Na wiekowych nieszczęść niwie
Już nie pusto—ni żałośnie;
Nigdzie nigdzie już nie ciemno,
Ani za mną, ni przede mną!
Wszędzie jasno—sprawiedliwie!
Zrozumiana przeszłość święta,
Zrozumiane czysca męki
I ten kielich z kata ręki,
I te krzywdy i te pęta,
I duch złego, który kusi,
Do podłości serce dzielne,
I to serce—które musi
Wstać z tej śmierci—nieśmiertelne!
Duch twój nigdy już nie skona,
Polsko moja przemieniona!
Ponad ziemskich szum zawiei
Tyś się wzbiła w kraj idei!
Inni pomrą bez nadziei,
Śród otchłani lub w dolinie,
Lecz ty stoisz na wyżynie!
U stóp twoich czasu fala
Niech się pieni i przewala:
Wszystko przejdzie na potoku,
Wszystko zniknie na głębinie,
Co widome tylko oku;
Lecz idea nie przeminie!
Ty nie jesteś mi już krajem,

Miejscem—domem—obyczajem,
Państwa skonem—albo zjawem:
Ale wiarą—ale prawem!
Ten już odtąd Bogu kłamie,
Kto cię zdradzi—kto cię złamie;
Bo myśl Boga w twoim łonie
I los świata—w twym zakonie!
Wiekuisty ojców Boże,
Ty, co górny i daleki
Coraz jaśniej w nas przez wieki
Tu zstępujesz—i jak zorze
Z bram wieczności w czasu tonie
Skry twe sypiesz, aż czas spłonie!
Teraz idzie znów zaranie,
Które dajesz nam z miłości;
— I po grobach zadrżą kości
W szelest hymnu Tobie, Panie!
Darmo—darmo nasze wrogi
Ach! bluźniły, żeś bez serca,
I mówiły—żeś morderca!
Tyś umarłym wytknął drogi,
Co w niebieskie wiodą progi,
Aż wskrzeszonych zmienią—w bogi!
Za ból ciała—za ból duszy,
Za stuletnich ciąg katuszy
Dziękujemy Ci, o Panie!
Choć my nędzni—słabi—marni,

Z naszej wszczęło się męczarni
Twe na ziemi królowanie!
My jak prochy—my jak pyły—
I wywiałeś nas z mogiły,
I nam rzekłeś: «*O tej porze*
Z was ja wszystko nowe tworzę»—
— Prochy, lecim już w przestrzenie —
I w piorunach twego głosu:
«Światło, stań się!» śród chaosu[50]
Z prochów stały się—promienie!
I do świata, który kona,
Tyś nas posłał nazad w gości,
By, promyki z Twego łona,
My świadczyli o przyszłości!
Wiekuisty ojców Boże,
Błogosławim ci w pokorze!
Gdy wiek wieków się przemienia,
Przed Twym tronem nasze duchy
Zapadają w przepaść skruchy,
W śmierć przed Tobą—z uwielbienia.

* * *

Alleluja! — dniom boleści
Wnet skrzydłami zaszeleści
Anioł, zwiastun *dobrej wieści!*
Alleluja!—moc szatana,
Co udawał ziemi pana,

Już na ziemi pokonana!
Niby skryte zło w naturze,
Od początku walczył z nami,
Chadzał dumny w wiatrów chórze,
Wył na fali—grzmiał na chmurze
I zabijał piorunami!
Chwila jeszcze a upadnie,
A gdy czoło w pył pokładnie,
Ze zwłok jego się przetworzy,
Przeanieli—wydobędzie
Inna postać—seraf Boży,
Co planety stróżem będzie!
I przejasnych widzeń darem
Po za trumien czarnym jarem[51],
Żywym wskaże białe raje,
Gdzie duch zmarłych zmartwychwstaje!
Wszystkie, wszystkie sprzeczne siły
W jeden nastrój się złączyły,
Jedna drugiej nie przeklina—
Wirującym ziemia jękiem
Już przestworu nie przecina—
Lecz szczęśliwa brzmi i śpiewa,
Harmonijnym śpiewa dźwiękiem!
Słabszych silny już nie gniecie;
Tak jak w niebie na planecie
Wszystko świętej woli słucha;
Martwa dotąd bryła ludu

Już przekuta dłutem cudu
W nieśmiertelny *posąg ducha!*
Piersi ludzka, na śpiew się sil:
Wił się wieków rój
I walk mijał stek;
Lecz skończony bój,
I szczęśliwy wiek
Ujrzy chwilę chwil!
Nie widział wzrok, ni słyszał słuch,
Jaka piersi głąb,
Jaki serca czar;
Myśli twórcza, zstąp,
Daj przebudzeń dar,
Niech się ocknie duch!
Długo trwała snu tego moc,
Uwierzyli weń,
W wieczny ból i trud!
To przybytku sień—
To po wschodach wschód;
To zasługi noc!
Piersi ludzka—kędyż twój srom?
Spojrzyj w siebie—patrz!
Gdzie wrzał dawniej płacz,
Stęk zgrzytanie—wrzask;
Dziś z niebieskich łask
Drugi Boży dom!
Rozszerzyła się piersi cieśń

W niezmierzoną błoń,
W jasnowidną toń!
Jeden z nieba kwiat
Przyszłych wieniec lat,
Jedna w Bogu pieśń!

Tak śród przedświtów[52] lepszego poranka
Marzył wygnaniec—marzyła wygnanka!
Co czuli w sercu—rzucili w te słowa;
Lecz słowo tylko—to marna połowa
Arcydzieł życia;—modlitwa jedyna,
Co godna Stwórcy, od hymnu się wszczyna,
Lecz nie zna myśli i czynów rozdziału;
Co głosem śpiewa, to wciela pomału
W kształt dotykalny—aż tak, jak duch Boży,
Świat rzeczywisty wokół siebie stworzy,
Równy pięknością światom ideału!
Taką nam odtąd modlić się potrzeba;
Bo póki łódka na marzeń jeziorze
Falę natchnienia—w samotności—porze,
Myśl tylko weszła—nie człowiek—do nieba!
Cokolwiek będzie—cokolwiek się stanie,
Jakkolwiek pieśni nie pojmą szyderce,

My już w niej całe wyśpiewali serce,
I tu jest nasze ze *słowem* rozstanie!
Niech nucą jeszcze dzieciątka niewinne,—
Harfy już nigdy, nigdy nie nastroję,
Drogi przed nami otwarte są inne:
Zgińcie, me pieśni—wstańcie, *czyny* moje!
Lecz ty, piękności, którą ukochałem,
Siostro, jedyna w moim życiu całym,
Ducha męskiego niewieści aniele!
Czuwaj nade mną — i zostań się przy mnie,
Aż zginę — cząstką — w trudów arcydziele—
Aż skonam—zwrotką—w poświęcenia hymnie!

OBJAŚNIENIA.

Dwuwiersz łaciński — Ultima Cumaei i t. d. w tłómaczeniu Nagurczewskiego brzmi:

Kumejskich proroctw już nadśpiały czasy:
Świetny się wieków poczet odradza na nowo.

Drugi wyjątek z Mszału znaczy: Dziś wiedzieć będziecie, że przyjdzie Pan, zbawi nas i wcześnie ujrzycie chwałę jego.

1. Politeizm — wielobóstwo, wiara w wielu bogów.
2. Augur—wróżbita rzymski.
3. Sofista — filozof, wędrowny nauczyciel mądrości.
4. Quot capita, tot sensus — łac.: ile głów, tyle rozumów.
5. Epikureizm—teorja filozoficzna, głoszona przez Greka Epikura (4 wiek przed Chr.), według której należy dążyć do używania przyjemności, jaką daje życie cnotliwe.
6. Stoicyzm—teorja filozoficzna grecka, głosząca zasady ciągłego doskonalenia się wewnętrznego i unikania wszelkich namiętności.

7. Platonizm – Platon (429—347), słynny filozof grecki, twórca idealizmu.

8. Proskrypcja—karanie konfiskatą majątku i pozbawieniem wszelkich praw ludzi, posądzonych w Rzymie o zdradę stanu.

9. Marjusz (155—86), stojąc na czele stronnictwa ludowego, walczył z przywódzcą arystokratycznej partji, Syllą (137—78).

10. Grakchowie—dwaj bracia—Tyberjusz i Gajus—w II w. przed Chrystusem za obronę praw ludu ponieśli śmierć.

11. Bogi Many—bogi opiekuńcze, duchy przodków.

12. Appjuszowie; z tej rodziny patrycjuszowskiej zasłynęło dwuch: Appjusz Klaudjusz (w V w.) z okrucieństwa i A. Klaudjusz Ślepy, który urządził drogi i zaprowadził wodociągi w Rzymie.

13. Brutus—zabójca Juljusza Cezara.

14. Rubikon—rzeka na północy Włoch.

15. Jacta alea est – łać.: kość rzucona.

16. Pod Farsalą w Grecji Cezar zwyciężył wojska stronnictwa arystokratycznego z Pompejuszem na czele.

17. Uniwersalny—powszechny.

18. Discite historiam exemplo moniti — łać.: uczcie się historji, upomnieni przykładem.

19. Epileptyczny—konwulsyjny, chory na padaczkę.

20. Katylina—stał w Rzymie na czele spisku, dążącego do przewrotu.

Danton, Saint-Just, Robespièrre — przywódcy rewolucji francuskiej.

21. Kacerstwo—herezja, odstąpienie od wiary Kościoła Rzymskiego.

22. Consumatum est—łać.: spełniło się.

23. Encyklopedyści francuscy—wśród nich zasłynęli Diderot, d'Alembert, Voltaire. Nazwa tej szkoły filozoficznej powstała od słynnej Encyklopedji, wydawanej przez pierwszych dwuch filozofów w latach 1751—1763.

24. Panteizm—wiara, że wszechświat jest samym Bogiem, uznawanie Boga w całej naturze.

25. Dualizm perski—Persowie wierzyli w istnienie dwuch bogów: dobrego (Ahuramazdę) i złego (Arymana).

26. Monoteizm—wiara w jednego boga.

27. Indywiduum—jednostka.

28. Kreacja – stworzenie.

29. Machiawelizm—podstępne sposoby, używane w stosunkach między państwami (w dyplomacji); nazwa ta powstała od słynnego pisarza włoskiego Machciavell'ego (1469 1527), który podobnych rad udzielał w dziele p. t. «Książę.»

30. Factum—sprawa skończona.

31. Słowa te łać. znaczą: Do Pana należy ziemia i wszystko, co zapełnia wszechświat, i wszyscy, którzy na nim mieszkają.

32. Dante, największy poeta włoski (1265—1321), w dziele p. t. «Boska komedja» opisał wędrówkę swoją po piekle, czyścu i niebie.

33 Beatrycze — ukochana przez Dantego kobieta, która zgasła w młodym wieku. Krasiński mówi tu o Delfinie Potockiej.

34. Majaczeć—okazywać się niewyraźnie.

35. Nasza święta—Polska.

36. Antenaci—przodkowie.

37. Szyszak—zbroja, ochraniająca głowę.

38. Grzegotać—wydawać dźwięk.

39. Mowa tu o Stefanie Czarnieckim.
40. Buzdygan — buława, godło władzy hetmańskiej.
41. Tuszyć - spodziewać się.
42. Katusze - męki, cierpienia.
43. Azaż—czyż.
44. Buńczuk — drzewce z ogonem końskim, godło dowódzców wojskowych tureckich i tatarskich.
45. Damasceńskie—wyrabiane w mieście Damaszku w Syrji (w Azji Mniejszej).
46. Letarg—ciężki i długi sen, pozorna śmierć.
47. Wawrzyn—laur—drzewo, którego liśćmi wieńczono głowy zasłużonych.
48. Karmazyn — suknia z materji pofarbowanej na czerwono.
49. Wir—ruch. kręcenie się.
50. Chaos—zamęt.
51. Jar—dół, dolina.
52. Przedświt — chwila, poprzedzająca świt; brzask.

ALBUMY I POEZJE ILUSTROWANE

Dla Ciebie, Pani!...
Album poetyczne ze wspaniałemi chromolit. Format wysoki, w pięknej okładce 2 70

GAŁĄZKA POKOJU
Piękne album z wyborem najcelniejszych poezji religijnych, ozdobione 12 chromolit. 1 20

Z WIOSNĄ
Albumik z wyborem poezji, ozdobiony 8 chromolitografjami, w ozdobnej okładce — 90

WIOSENNE KWIECIE
Poezje Or-Ota, ozdobione 16 chromolitografjami, w ozdobnej okładce 1 20

ECHA WIESZCZE
Ozdobne album z wyborem fragmentów naszych poetów, z 12 wspaniałemi chromol. 1 80

KWIATY I PIEŚNI
Piękne album kwiatowe z 68 chromolit. z wyborem poezji naszych poetów, w ozd okł. 2 —

LEĆCIE PIEŚNI
Prześliczne chromolitografje, z pięknym wyborem poezji naszych poetów, w ozd. okł. 1 20

LISTY
Poezje M. Konopnickiej, ozdobione 12 chromolitografjami, w ozdobnej okładce — 75

PIEŚNI—LISTKI
2 albumiki z wyborem poezji, ozdobione chromolitografjami, w ozdobnej okładce, po — 50

KSIĄŻKI DLA WSZYSTKICH

ZYGMUNT KRASIŃSKI

POEZJE LIRYCZNE

Dział
Znak 2448
2734
76 inw.

CZĘŚĆ II.

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE.
1910

DRUK M. ARCTA W WARSZAWIE, ORDYNACKA 3.

MYŚLAŁEM NIERAZ...

Myślałem nieraz przez znak dotykalny
Wyrazić tobie ten świat idealny,
Cudowny, skryty, własny twego ducha,
Skąd życie twoje co chwila wybucha,
W którym twa dusza, łamiąc się na dwoje,
Jakimś podziemnym i wewnętrznym okiem
Patrzy przed sobą w własne myśli swoje,
Wiecznym z jej głębi rwące się potokiem,
A choć się w przepaść sama rozstępuje,
Zawsze się jedną, zawsze całą czuje.

Tak eter niebios, choć tylko promieniem
Gwiazd swoich widny, gwiazdy owe rodzi,
Przedziela, łączy i wszystkie obwodzi,
Rozbłękitniony wieczności pierścieniem;
Każda w nim żyje, kołuje, umiera,
One są jego myślami na niebie,

On ich rodzicem, a jednak sam siebie
W ich barwy stroi, w ich ognie ubiera,
Dopiero, niemi roziskrzony cały,
Zowie się niebem i drży w blaskach chwały. —

Jak eter w świecie, tak jest w twojej duszy
Błękit odwieczny, niebieski, kryjomy,
Co wtedy tylko staje się widomy,
Gdy się napoprzek rozedrze i wzruszy —
Gdy się w wir myśli rozbije, rozłamie
I w myślach własnych, jakby w gwiazd szeregu,
Ujrzy odwieczne światła swego znamie,
Sam siebie porwie do życia i biegu.

Lecz twój ten błękit, co wszystko kojarzy,
Co raz jest źródłem, to znowu łańcuchem,
Co razem z tobą i nad tobą marzy,
Wieszli, ten błękit jak się zowie? — »Duchem!«
Duch Twój, na wieki boskiego odnoga [1]),
Dzieli się w Trójcę, jak wielki Duch Boga,
Nawzajem patrzy i sam jest patrzony
I w każdej chwili życia ma trzy strony,
Z których się jedna na myśli rozkraja,
A druga patrzy — trzecia wszystko spaja.
Lecz, ciebie godząc połączeń miłością

[1]) cząstka.

I myśli twoje odnosząc do ciebie,
Czyż duch ten trzeci nie jest twą całością,
Gwiazd i błękitu zlaniem się na niebie?

NIECH MOJA DUSZA...

Niech moja dusza będzie cicha — czysta,
Jak ta noc letnia — spokojna, przejrzysta!
Niech, gwiazd tych złotych oblany pokojem,
Idę w świat — z światem walczyć wstępnym bojem!

Choć w głębi serca żar się palić będzie,
Niechaj powagi oblecze mnie szata!
Niechaj się stanę na zawsze i wszędzie
Niewzruszon w ruchu — jak ten krąg wszechświata!

Niechaj podobny będę do tej nocy,
W której śpią wrzkomo ciała—duchy—mocy—
I każda skała na ziemi jest cieniem,
I każda fala na wodach — milczeniem,
A jednak wszystko skrytych sił tysiącem
Rwie się ku zorzy i stąpa za słońcem! —

Takim być pragnę — lecz nie na to, Panie,
Bym świat uwodził i władał bliźnimi.
Niech rząd dusz ludzkich innym się dostanie!

Ja jedną tylko chcę zbawić na ziemi —
Tę jedną tylko, co, gdy skonam, skona,
A gdy żyć będę, ze mną zmartwychwstanie —
Bo mi na wieki dana, powierzona,
Boś Ty mą siostrą uczynił ją, Panie!

Więc mnie wysłuchaj, miłosierny Boże!
Idę w świat straszny, gdzie miłości niema —
Daj mi spokojność i siłę olbrzyma,
A duch mój wtedy tej duszy pomoże!
Niech wśród męczarni stanę się aniołem,
By cień mych skrzydeł pływał nad jej czołem
I wiecznie, wszędzie ochładzał jej skronie
I niósł ją lekko ponad życia tonie!
Choć sam z nadziei i z szczęścia wyzuty,
Choć sam rozdarty, przebity, przekłuty,
Niech będę dla niej, jak żywa opieka,
Czemciś na ziemi — z bliska czy z daleka —
Jak duch świętego i serce człowieka:
Wszelkiego bolu pociechą, osłodą,
Nadzieją przyszłą i przeszłem wspomnieniem,
Gdy zechce płakać — ah, płaczu swobodą,
Gdy śpiewać zechce — ah, jej duszy pieniem!
Na to niech żyję — na to mi daj siłę,
Bobym inaczej prosił o mogiłę!

TAK WIĘC CIĄGLE...

Tak więc ciągle z burz na burze
Wśród błyskawic, po otchłani,
Bez wytchnienia, bez przystani —
Aż się wreszcie w głąb zanurzę!

Ilem razy wśród zawiei
Oczy smutne wzniósł do góry
I gdzieś szukał gwiazd nadziei,
Cóżem ujrzał? — tylko chmury.

»Oto cisza, wiatr już kona!«
Ile razy rzekłem sobie,
Głos mi odgrzmiał z burzy łona:
»Ciszy niema, jedno w grobie!«

I tak dalej i tak wszędzie,
Od kolebki urodzenia
Aż do trumny zapomnienia
Wir trosk sercem miotać będzie.

Aż przepadnie wszystko razem,
Myśl i ciało — a na skale
Drzymać będą tylko fale
Wieczności obrazem.

NAD MORZEM NA SKALE.

O Boże, Boże! Rozemknę ramiona,
Jak gdyby skrzydła — i skrzydłami temi
Polecę na dół, w głąb błękitów łona —
Polecę w morze — w to niebo na ziemi.
Bo wznieść się w górę nie wolno — nie dano,
W dół tylko cięży me ludzkie kolano.
A chcę odepchnąć ten ląd taki szary,
Chcę się przerzucić w jakiebądź bezmiary.
Duch mój rad ujrzeć niewidzialnych gości,
Dobro i piękno, w blaskach wszechmiłości,
Dobro i piękno, ze złem nie złączone —
Coś wszechstronnego — w czemby się nie kryła
Przy mocy Bożej i piekielna siła,
Coś, coby płaczem nie było zroszone.
Bo za dni naszych i najświętsze cele
Brzydoty bólu, nędzy mają wiele.
Mrok zawsze blizki czystego błękitu
I łza, krwi pełna, blizka łzy zachwytu.

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . nożem.

O, tak marzyłem na wzgórzu, nad morzem,
I chciałem, chciałem rozemknąć ramiona,
Jak gdyby skrzydła — i skrzydłami temi

Na dół się zepchnąć w głąb błękitów łona —
Polecieć w morze — to niebo na ziemi.
Tak dobrze lecieć — tak ciągnie planeta,
Radby do serca przytulił człowieka —
Tak otchłań wabi i ludzi z daleka —
W nerwach tak dziwna budzi się podnieta!
Zdaje się: w dole przepłynne [1]) kryształy —
Tak miękko będzie — tak lubo — tak miło —
Człowiek na falach rozciągnie się cały,
I coś boskiego będzie mi się śniło,
Aż w nieskończoność poniosą te wały [2])
I księżyc wejdzie i w srebrnych promieniach
Kochane wejdą przywitać mnie duchy,
Zewsząd owieją niebiańskie podmuchy;
Wesprę się, płynąc na wysmukłych cieniach —
I coraz dalej — ach, dalej od ziemi,
Już w wieczność będę po morzach wraz z niemi,
Jako szedł Chrystus przez niegrzązkie fale
Do źródła ziemi, nie ciężki już wcale,
W wewnętrznej duchów lekkości i chwale!

A jednak, jednak ja tu się zostanę,
Choć wszystko smutne, choć wszystko stroskane.
Dopóki żyją moi ukochani,

---

[1]) przepływające
[2]) fale.

Duch mój ich nagłem odejściem nie zrani.
Wiem, że ty lepsza, błękitna otchłani,
Niż zgotowana przyszłość, co mnie czeka —
W tych falach spokój, a tam są tortury —
Lecz precz odemnie, kuszące lazury! —
— Przez ból hartują się piersi człowieka —
Ja ból obieram — w każdej chwili ranę
Do piersi przyjmę. Ach, ja tu zostanę!

JESZCZE KIELICH... [1]

Jeszcze kielich mojej doli
Wiele kropel ma;
Muszę cierpieć, pić powoli,
Wypić aż do dna.

O, NIE ZRYWAJ...

O, nie zrywaj — co nas łączy.
O, nie zrywaj — co mnie wspiera!
Nieskończone się nie kończy,
Nieśmiertelne — nie umiera.

---

[1]) wiersz na grobie Delfiny Potockiej, na cmentarzu Montmorency w Paryżu.

FALA.

Zwrotki do muzyki.

Czy ty nie słyszysz, jak na morskiej skale
Fala się męczy i skarży i kona?
Tak serce polskie śród polskiego łona
W wieczne rozpaczy męczenni [1]) się żale,
Rozbite, jak ona.

Patrz, u stóp skały nazad fala cała
Znów błyszczy, wraca i szumi w zawiei!
Tak serce, stokroć rozdarte, się klei —
Tak znowu w piersiach krwią promienną pała
Wiary i nadziei.

DO PRZYJACIELA.

Gdy czyhał na mnie północny morderca,
Gdym nad przepaści już się chylił dołem,
Tyś mnie wielkością swego zbawił serca,
Ty byłeś dla mnie widomym aniołem.
Nie onym, w marzeń wyśnionym godzinie,
Co blichtrem skrzydeł błyska — aż przeminie,
Ale aniołem w duchu, w prawdzie, w czynie —

---

[1]) wśród męczeństwa wygłasza żale.

Tym, co nie łudzi ani się przymila,
Lecz strzeże wiecznie i zbawia co chwila
Opieką bożą — w człowieka postaci,
Bratem niebieskim — pośród ziemskich braci,
Tarczą, obroną — czemciś nienazwanem,
Za co, dziękując, przyklękam przed Panem
I proszę Pana: niech tobie zapłaci!
Bo sam tę wieczną czuję w sercu trwogę,
Że nic ci oddać, ach, za to nie mogę,
Chyba to jedno, że z wiarą wciąż wołam:
»Strzeż mnie i kochaj!« — Nic więcej nie zdołam.

CZAS MA NADZWYCZAJ...

Czas ma nadzwyczaj coś gorzkiego w sobie!
Ileż go razy zatrzymać ja chciałem,
Gdym dni szczęśliwe przepędzał przy tobie! [1])
Na klęczkach każdą chwileczkę błagałem,
Mówiąc: »Chwileczko, o zostań na chwilę!
Tak mi niebiesko [2]) — tak domowo-mile,
Lecz niech raz czuję, że nie znikniesz lotem,
Niech raz się dotknę ciebie — znikniesz potem«!
I nigdy, nigdy żadna z godzin tyla

[1]) przy Delfinie Potockiej.
[2]) niebiańsko.

Wysłuchać prośby nie chciała serdecznej,
Żadna mi w ręce nie dała się chwila —
Żadnej godziny nie miałem ja wiecznej.
O, czas jest straszny — o, czas jest przeklęty,
O, czas sam z siebie już jest nieszczęśliwy!
Nigdy nie spełnion, nigdy nie dopięty,[1])
Przez zmarłe chwile sam wciąż stąpa żywy.
A jaki pyszny — jaki pan — jak świeży!
Taka wiośnianość na skrzydłach mu leży —
W niej skonać pragniesz, w niej chcesz ukojenia —
Wtem znów się wszystko w mgnieniu chwilki zmienia.
Nie mogłeś umrzeć, odetchnąć, tam zostać,
Gdzie śmierć ci życiem — życie, co ci zgonem,
Rwie się już dalej w inną świata postać —
I tyś jak dzieckiem, znów osieroconem.
I płaczesz — płaczesz szlochami krwawemi,
Żeś nie mógł chwili przytulić do siebie,
Żeś nie mógł w chwilkę zmienić się na ziemi,
Żeś widział niebo — lecz nie poczuł w niebie.
Ach, czas jest gorzki — ach, czas jest okrutny
I człowiek, w czasie żyjąc — żyje smutny.

[1]) nieosiągnięty.

PYTASZ SIĘ, CZEMU...

Pytasz się, czemu ucichły me pieśni
I jęk się często z mych piersi odzywa?
Bo w snach się moich nic dobrego nie śni.
I słowik tylko po święty Wit śpiewa.

Straszne się w duszy naradza przeczucie,
Wszystko się łamie, rozstraja, rozrywa: —
Nie każ mi śpiewać na rozpaczy nucie!
I słowik tylko po święty Wit śpiewa.

Ponad krwią, laną mordami, nie bojem, [1])
Nie umie harfa zabrzmieć nieszczęśliwa;
Wtedy milczenie jedynym jej strojem [2]).
I słowik tylko po święty Wit śpiewa.

DO D.

Po śmierci.

Gdy wkrótce, droga, śmierć wiatrom rozrzuci
Serce me, w popiół ogniem mąk spalone,
Niech twój głos o mnie jeszcze pieśń zanuci,
Niech wzrok twój spojrzy w grobu mego stronę!

[1]) mowa o rzezi galicyjskiej 1846 r.
[2]) melodją.

Gdy się rozwieję i zniknę ci z oczu,
Grób mój nie tutaj, mój grób tam, na niebie;
Szukaj mnie w nocy miesięcznych przezroczu
O chwili, w której jam tu szukał ciebie!

Gdy ty piętrami ciemnego ogrodu,
Modląc się, zejdziesz i staniesz w żałobie,
Jak posąg biały, u chłodnika[1]) wchodu,
Może ja wrócę lub przyśnię się tobie.

Gdy spojrzysz w wulkan, w księżyc i na morze,
Duch mój tam będzie w tej srebra przestrzeni
Gwiazdeczką, falą, albo listkiem może,
Listkiem tak błędnym, jak liście jesieni.

Bo ja na zmiany i gwiazdą i listkiem,
Gdym żył, błądziłem po tej smutnej ziemi;
Dla ciebie byłem gwiazdą — pieśnią —
wszystkiem,
Dla ludzi niczem, bom ja gardził niemi.

Nigdym nie zasiadł do biesiad ich stołów.
Co świat ten cieszy, mnie tylko hydziło —
Żyłem w twych oczach i w oczach aniołów —
Ty i Bóg wiecie, co mi w sercu biło.

[1]) chłodnik — altana.

Jam bardzo kochał — zanadto, za wiele!
Jam bardzo kochał — aż, znękan rozdziałem,
Duszęm wypłakał. Jam nie mógł w rozdziele
Żyć z tobą tutaj — więc tutaj skonałem.

Jam się stał teraz dźwiękiem, szumem,
tchnieniem;
Do harfy twojej dziś mój duch przylega
I pod twą ręką drży strun twoich drżeniem,
Aż znów ucicha, omdlewa, odbiega.

Jam się stał iskrą, sinym błyskiem, mgnieniem;
Gdy chmura, pędząc, czarną pierś roztworzy
I krwi się swojej obleje promieniem —
To duch mój błyska w tej piorunnej zorzy.

Gdy księżyc wznidzie — cały rozmieszany
Z powietrzem, płynę, rozzłacam się wkoło;
A gdy cię ujrzę, zbliżam się stroskany
I, milcząc, światłem całuję cię w czoło.

Ty mnie nie słyszysz, choć jestem przy tobie,
Ty mnie nie widzisz, gdy zrywam ci kwiaty
Z łąk, wzgórzów, lasów i rzucam na szaty —
Ty je otrząsasz i depczesz w żałobie.

Proszę się duchów, archaniołów, Boga,
Bym mógł raz jeden objawić się tobie,

Gdzie chłodnik, wschody, gaj i w gaju droga,
Stanąć widzialny o wieczoru dobie.

Lecz darmo proszę. — Tylko pozwolono
Mi skroń twą pieścić wietrzyka powiewem
I, bladych iskier wieńcząc cię koroną,
Niedosłyszanem żegnać cię westchnieniem.

Próżno mnie wabią gwiazdy i lazury;
Ja zbiegam ciągle na dół, tam, ku tobie
I smętny wracam w niebieskie tortury:[1])
W nieskończoności pusto mi, jak w grobie.

Nieszczęsny jestem, choć gwiazdy i słońca
Przy mnie się kręcą w pierścieniach z promieni,
Cierpię bez miary i tęsknię bez końca
Do niższych, ziemskich, do twoich przestrzeni.

Samotny jestem wśród toni wszechświata.
Co mi po nurtach tej elektryczności,
Która dziś wieńcem siły mnie oplata?
Co mi po sile, która we mnie gości?

Co mi, że latam i wieję i płynę?
Że mnie witają po drodze komety?

[1]) gdzie nawet pobyt w niebie jest mu męczarnią.

Że, gdy na tęczę ciało me rozwinę,
W łuku mych ramion przechodzą planety?

Jedna mi tylko pociecha się stała:
Twarz gdzieś anielską raz jeden spotkałem,
Co mi twą piękność, jak snem, przypomniała.
I to mi było w niebie szczęściem całem!

O, płacz nademną gorzką łzą pamiątek,
Płacz nad nieszczęsnym, coby wolał z tobą
Dzielić łzy, bole i ziemski zakątek,
Niż, świateł marną spętany ozdobą,

Wśród tych ogromów, tak rozbłękitnionych,
Tak dniem i nocą Bogiem oświeconych,
Latać i błądzić, tęsknić i narzekać
I ciebie wiecznie — tylko ciebie czekać!

GDYBYM DZIŚ, JUTRO...

Gdybym dziś, jutro, lub dnia z tych jakiego
Nagle miał przenieść się do snu wiecznego,
Chciałbym spokojnie, lekko, bez boleści
Rozsnuć, do świata wiążące mnie nicie,[1])
Zniknąć bez śladu i przepaść bez wieści,
Jak łza w potoku, jak mgła na błękicie.

[1]) usunąć to, co łączy ze światem—umrzeć.

Lecz nim spór chwili wyrocznej przeminie,[1])
Nim, skądem wyszedł, powrócę do Boga,
Chciałbym być z tobą w ostatniej godzinie
I cicho konać na twym ręku, droga.
A gdy już zrzucę wszelkiej troski brzemię
I ty me ciało będziesz kładła w ziemię,
Proszę cię, nie chcę dusznego sklepienia
Klasztornych murów mieć nad mojem czołem—
Dość mi już było na świecie więzienia!
Śmierć niech łąk wolnych otoczy mnie kołem!
Gdzie na zielonem i otwartem polu,
Pod niebios wiecznie błękitnym pierścieniem
Złóż moją głowę senną, pełną bolu,
I marmurowym przykryj ją kamieniem;
A marmur ochłódź wonnych krzewów cieniem!
Zasiej tam, zasadź bluszcze, rozchodniki,
Stulistne róże, podwójne gwoździki,
Niezapominki i nieśmiertelniki,
Italskie mirty, podalpejskie dalie,[2])
I borów naszych pamiątkę — konwalie!
Wszystkie, co kochasz i com ci przynosił
Za życia, kwiaty oddaj umarłemu!
Pomnij, żem o nie, zasypiając, prosił,
I rzuć je wieńcem na głowę śpiącemu!

[1]) walka życia ze śmiercią w chwili zgonu.
[2]) gieorginie

Niech, przytłoczony tym ostatnim darem,
Pchan coraz niżej tym kwiecia ciężarem,
W wieczność zapadam, aż w niej się przetworzę
Na drobne listki, gałązki, kielichy,
I z głębi grobu wyrosnę — kwiat cichy,
I serce wonne przed tobą roztworzę!
Tak każdej wiosny ócz wonnych tysiącem
Będę wyzierał za śmierci okręgi
I rósł tam jeszcze przy tobie, pod słońcem,
Stopy ci w miękkie obwiązując wstęgi.

Rwij mnie, bierz — rwij mnie, przyczepiaj do skroni!
Co ciało zdoła, to ciało da tobie;
Nic się już z niego nie zostało w grobie,
W kwiat się zmieniło, a kwiat zniknął w woni.
I duch mój czeka, aż woń ta powróci,
Przez smugi niebios niesiona wichrami,
I znów go ciałem dokoła obrzuci,
Lecz innem, światłem, spólnem z aniołami.

Przenoś więc dalej na tej dziwnej drodze
Z głębin grobowych do jasnego nieba
Wszystkie te kwiaty, które w grobie rodzę!
Nim mnie obleką, zwiędnąć im potrzeba
Na piersi twojej; bo stamtąd dopiero,
Uniewidnione,[1]) w niebo się wybierą

[1]) niewidzialne.

Do ducha mego — i ciało me w niebie
Będzie z tych kwiatów, co zwiędły u ciebie.

DWIE PIOSNKI.

I.

Od łez moich się zaduszę!
Ja ci dałem całą duszę,
A dziś w drogę jechać muszę!
Ja tak cię kochałem!
Ah, rozdział śmiercią — tak, jak śmierć rozdziałem!

Wczora jeszcze tak radośnie,
A dziś, patrzaj, tak nieznośnie,
Coraz gorzej[1]) żal mój rośnie —
Ja tak cię kochałem!
Ah, rozdział śmiercią — tak, jak śmierć rozdziałem

Tam gdzie jadę — pustki, ciemno,
Bo nie będzie ciebie ze mną,
Ty, aniele mój nademną!
Ja tak cię kochałem!
Ah, rozdział śmiercią — tak, jak śmierć rozdziałem!

[1]) bardziej.

Lecz, na Boga, ja powrócę,
Dni żałoby wolą skrócę
I pieśń szczęścia znów zanucę
Nowym natchnień szałem:
Ni rozdział śmiercią — ni śmierć jest
rozdziałem!

II.

Rankiem, wieczorem na wyspy bezdroże
Patrzę samotna w skały — w niebo — w morze
I codzień mówię: »On dziś wróci może!«
Taki mój los!

Dni kilka tylko, lecz już cierpień wieki,
Odkąd tak czuwam z płaczem u powieki,
A on co chwila bardziej mi daleki.
Tak mnie przebił cios!

Czyż ptak się jaki nie wróci z oddali,
Lub żagiel jaki nie błyśnie na fali,
O nim doniesie i mnie się użali?
Już czuję zgon!

Kiedyż on wróci? Czyż jeszcze dni wiele
Tak patrzeć będę na smutne topiele? [1])

[1]) na głębie morza.

O szepnij — szepnij mi, stróżu aniele:
»Wkrótce wróci on!«

O BIEDNA...

O biedna, czegóż ja mam życzyć tobie,
Co wzbudzić w potęg czarnoksięskiem kole,
By świeżość wiosny w posępnej żałobie
Nie marła jeszcze na twem drogiem czole?

Jak odbić czasu niewstrzymane fale,
Które pląsają koło twego czoła,
Aż wreszcie z chwały i szczęścia anioła
Zostaną tylko nędzne, ludzkie żale?

Każda mi chwila, która w przeszłość goni,
Cięży na sercu przeczuciem goryczy,
Bo ona, lecąc, drogę swoją liczy
Na róże, spadłe z wieńca twoich skroni.

. . . . . .

Gdzie oczy zmienne, co kiedy zawrzały
Ukryte w piersiach czary uniesienia,
Z błękitnych nagle w czarne przeiskrzały, [1])
Aż znów wróciły lazury cierpienia?

[1]) zmieniły się w iskrząco-czarne i znów miały barwę błękitną w chwili cierpienia.

Gdzie czoło, kędy ożywione myśli
Snuły się jedne po drugich, jak cienie,
Które na wodach mgła przelotna kryśli
I maże wiatru wiosenne powienie?

O biedna, czegóż ja mam życzyć tobie,
Co wzbudzić w potęg czarnoksięskiem kole,
By świeżość wiosny w posępnej żałobie
Nie marła jeszcze na twem drogiem czole?

MÓGŁEM BYĆ Z TOBĄ...

Mógłem być z tobą na ziemi szczęśliwy,
Mógłem uwierzyć, że tu czasem wiosna,
Spływając z niebios na śmiertelne niwy,
Bywa, jak w niebie, świeża i radosna.

Lecz teraz konam w próżniach ducha mego,
Teraz sam jestem wśród nieskończonego
Okręgu cieniów [1]) — i stróża anioła
Śpiew, co mnie dawniej obwiewał dokoła,
Choć dotąd jeszcze gdzieś w górze ulata,
Zda mi się ginąć na kończynach świata.

---

[1]) pośród ciemności.

Niegdyś świat Duchów zdawał się otworem
Stać duszy mojej i zstępować ku mnie;
Wśród cieniów nocą, wśród zmierzchów wieczorem
Z braćmi na chmurach witałem się dumnie,
Wlepiałem oczy w jasne ich źrenice.
Tam błękitniała spokojność wieczności,
I, zagubiony [1]) w tchnieniach ich miłości,
Kładłem me dłonie w ich rąk błyskawice,
Aż, ogniem zewsząd i światłem oblany,
Rąk nieśmiertelnych spalony uściskiem,
Znów opadałem na podniebne łany [2])
Z sercem szczęśliwem, bo skonania blizkiem.

CHCIAŁBYM ANIOŁA WIDZIEĆ...

Chciałbym anioła widzieć na tym grobie,
Kędy sny nasze leżą pogrzebane,
Coby mi czasem zaśpiewał o tobie,
Jak śpiewa tułacz pamiątki kochane;
Coby na chwilę pochodnią schyloną
W tę noc okropną i nierozgarnioną
Rzucił skier kilka na przyszłości fale

---

[1]) zatopiony aż do zapomnienia.
[2]) na ziemię.

I blaskiem chwały ozłocił me żale.
Ach, głos twój, gdyby ponad mojem czołem
Ozwał się, lecąc od dalekiej strony,
Choć raz się ozwał, wiatrami niesiony,
Ten głos twój byłby mi takim aniołem!

. . . . . .

Przed nocą wieczną niech głos twój usłyszę,
Jak pieśń nadziei w godzinie konania,
A może wtedy ponad grobu ciszę
Wejdzie mi blady księżyc zmartwychwstania!
A jeśli, płacząc, na zgasłych źrzenicach
Złożysz, jak kwiaty, twoje ciche ręce,
Grób spłonie ogniem i w stu błyskawicach
Słońc nieśmiertelnych obleją mnie wieńce.

UŁAMEK

NAŚLADOWANY Z GLOSSY ŚW. TERESSY.

Vivo sen vivir en mi
Y tam alta vida espero,
Que muero, porque non muero[1])
Glossa Ś. Teressy.

Przed życiem czuję — nie przed śmiercią — trwogę,
Bo takie światy widzę tam, przed sobą,
Że mi ten ziemski grobową żałobą
I tem umieram — że umrzeć nie mogę.

Umrzeć lub cierpieć — a cierpieć bez miary,
Bo mnie się z Tobą trza zlać w Twojem niebie,
Lub, gdy nie można —żyć w piekle dla Ciebie!
Ślij mi więc męki, jak niebieskie dary!

[1]) żyje nie żyjąc w sobie, i czekam tak szczytnego żywota, że umieram tem, iż nie umieram.

Im sroższe będą, tem mi więcej błogie —
Ja przed spokojem tylko czuję trwogę
I tem umieram, że umrzeć nie mogę.

Jedynej ulgi na moje męczarnie,
— A jedna tylko i »Śmierć« się nazywa —
Śmierci, dać sobie nie zdołam bezkarnie...
O, bardzom Panie, bardzom nieszczęśliwa!
Tę jedną szczęścia Tyś zamknął mi drogę
I tem umieram, że umrzeć nie mogę,
Czasem Cię tylko widuję w widzeniu,
Lecz ty nie raczysz długo ze mną zostać,
Wnet niknie bożo-człowiecza Twa postać
I w gorszem jeszcze konam znicestwieniu.
Przed chwilą byłam w wieczności rozlana —
Nikt nie rozeznałby sługi od Pana —
Ty, Bóg, Ty dla mnie stawałeś się mały,
A ze mnie, małej, wyrastał Bóg cały!
Tyś się zamykał w mem sercu, jak w grobie —
Jam się, jak bezmiar, szerzyła ku Tobie!
Przez nieskończonej Łaski zezwolenie
Stwórca przechodził na chwilę w stworzenie —
Stworzenie w Stwórcę — przez jedno
westchnienie.

Mnie już tak było, jakby po pogrzebie —
Bez ciała byłam na ziemi i niebie,
Na wieki z Tobą — przy Tobie — u Ciebie.

W twarz Ci patrzałam, ale nie oczyma —
Bo na to wzroku ócz śmiertelnych niéma.
Głos Twój słyszałam — lecz nie ziemskim
słuchem —
Wszystkom widziała i słyszała — duchem.
A jednak, Panie, Tyś jaśniał przedemną
Jakby słońc słońce, w którem kształt człowieka!
Ach, światło dzienne nocą wiecznie ciemną
Przy tym promieniu, co z Twych skroni ścieka!
Choć niecielesny — widomszy niż ciało —
I słowo każde, co z ust Twych spływało
Dźwiękiem, dźwięczniejszym, niż dźwięk, ssan
przez uszy,
Niebrzmiące, brzmiało, jak pieśń, w mojej duszy!
I byłam z Tobą — oglądałam Ciebie —
Nie ukrytego w przenajświętszym Chlebie,
Nie tajonego przesłonami cudu —
Lecz jakim bywasz śród aniołów ludu,
Tam, gdzie nad światem królujesz z świętymi.
Takim Cię, takim tu miałam — na ziemi!
Lepiej od świętych widziałam Cię, Panie,
Bo silniej kocham, goręcej, niż oni!
Już w domu wiecznym Tyś dał im mieszkanie—
A ja gdzie mieszkam? — co mnie strzeże, broni?
Gdy mnie porzucasz, zostaję w rozpaczy —
Lecz ból i rozpacz, cóż to dla mnie znaczy?
Im bardziej tęsknię, tem kocham goręcej,

Im więcej męki, tem miłości więcej
W tem piekle bożem bożego kochania,
Gdzie Twa obecność mnie nawet rozrania —
Bo chwilą później Tyś znowu daleki
I, nim powracasz, upływają wieki!
Bez Boga mego — a z Boga wspomnieniem —
Leżę na ziemi grobowym kamieniem,
A pod tym głazem mej niewzruszoności
Smutek przejada do szpiku me kości,
Żądam bez miary — miłuję bez granic —
Miłość i żądza nie zdały się na nic —
Zmienionam cała w jedno upragnienie,
Lecz Twojej woli w tych chwilach nie zmienię;
Pan nieśmiertelny nie zstąpi do sługi,
Aż kiedyś — kiedyś — znowu po raz drugi...
I mimo Twoją, o Ty mój, przestrogę
Ja tem umieram, że umrzeć nie mogę!

Albo Ty myślisz, o Ty wieczny, żywy,
Że Ciebie kocham za przyszłe nadgrody,
Za obiecane w królestwie Twem gody,
Za palmy — harfy — i cuda — i dziwy —
Za jakąkolwiekbądź w niebie zapłatę,
Którąbyś spłacił mi dni mych utratę?
Ja kocham Ciebie — żeś był nieszczęśliwy,
Że przebolałeś tu wszystko, co boli,
Że zniosłeś wszystko, co tylko poniża,

Ty, Bóg, w kajdanach cielesnej niewoli,
Ty, Bóg, przez katów prowadzon do krzyża!
Ja Ciebie kocham, że Cię o tej chwili
Niebo odbiegło i ludzie zdradzili —
Ja Ciebie kocham, — żeś był przymuszony
Wołać do Ojca: »O, Jam opuszczony!« —
Ja Ciebie kocham za Twoje konanie
I za śmierć więcej, niż za zmartwychwstanie!
Bo mi się zdaje, że Ty zmartwychwstały
Nie tyle biednej potrzebujesz sługi;
Już wtedy służy Ci Twój wszechświat cały,
Stopą powietrzne przelatujesz smugi...
Lecz, kiedy konasz, mnie się wiecznie zdaje,
Że wracam duchem w widziane już kraje,
Że oglądałam już wprzódy to wzgórze
I krzyż ten, zbroczoń w krwi Twojej purpurze,
Że Magdalena, ta święta, Twa miła,
Co tam tak jęczy — to ja chyba była!
Bo w sercu mojem jej serce mi płacze,
Bo drżą mi w oczach wszystkie łzy jej oka
I rozpacz moja tak straszna, głęboka,
Że być nie mogą dwie takie rozpacze!
Nie — ona Ciebie więcej nie kochała!
Ja wiem, że ona wielka, a ja mała,
Bom mniej czynami Tobie zasłużona,
Lecz więcej Ciebie nie kochała ona!
Jakżeż to będzie, mój Panie, mój Boże?

Jakżeż rozdzielić sądem Salomona
Tę jedną miłość między te dwa łona?
Bo dwóch miłości być takich nie może!

Nie — Ciebie więcej nie kochała ona!
Raz tylko w życiu na golgockim pyle
Leżała w płaczu, krwią Twoją zroszona —
Raz jeden tylko, — a ja razy tyle ...
Bo co noc prawie dla mnie się odtwarza
Kalwaryjskiego przytomność cmętarza
I z poza wieków upłynionych tyla

Wraca ta do mnie zobecniona chwila,
W której śród niebios i ziemi zaćmienia
Zmarł Wszechstworzyciel wobec wszech-
stworzenia
Aż padnie z zorzą pierwszy promień dzienny,
Widuję w celi tej krzyż Twój męczenny
I na tem drzewie oglądam Twe ciało,
Ostatkiem światła jeszcze tlące biało,
Gdy wszystko wokół, jak w grobie, zczerniało

Ty i ja. Panie — nikt więcej — my sami —
Tak blizcy siebie, a tak rozdzieleni —
Bo ja tu w dole, pod Twemi stopami,
A Ty nademną, w tej strasznej przestrzeni,
Do kłód tych z cedru przybity gwoździami!

Zrazu ja klęczę w milczeniu — a cała
Drgająca ciałem od mąk Twego ciała;
Kolcują [1]) w skroniach mi kolce Twych skroni,
Rwą mnie w mych dłoniach żelezca[2]) Twych
dłoni —
W boku mnie szarpie boku Twego rana —
I, choć tu-m w dole, takem z Tobą zlana,
Żem z Tobą w górze tam ukrzyżowana!
. . . . . .
. . . . . .

---

[1]) kłóją.
[2]) gwoździe.

RESURRECTURIS.[1])

Świat ten cmętarzem z łez, ze krwi i błota,
Świat ten, jak wieczna każdemu Golgota!
Darmo się duch miota,
Kiedy ból go zrani;
Na burze żywota
Niema tu przystani!
Los z nas szydzi w każdej chwili:
Dzielnych strąca do otchłani —
Giną święci, giną mili,
Żyją niecierpiani!
Wszystko się plącze — i nierozgmatwanie.
Śmierć w pobliżu — a w oddali
Gdzieś na wieków późnej fali
Zmartwychwstanie.

* * *

[1]) tym, którzy mają zmartwychwstać.

Więc trzeba skrzepnąć, stwardnieć, być bez serca,
Pośród morderców stanąć jak morderca,
Pośród zbrodniarzy wystąpić zbrodniarzem?
Kłamać — nienawidzić —
Zabijać i szydzić —
Tak świat tem samem, co dawa, obdarzem!
Oto potęga — lub stańmy się niczem!
Jedzmy i pijmy, bądźmy śmiecią złotą,
Ciała wygodą, a myśli nędzotą —
Tak się do głupich i szczęśliwych wliczem!

* * *

O, nie! O Duchu mój,
Wstecz się cofnij, stój!
Nie takąć to bronią
Na ludzkości czele
Z złem na ostre gonią
Zła Okróciciele![1])
Jedna tylko w świecie
Moc ofiary cicha
Los gniotący zgniecie —
Oto dziejów lew!
A podłość czy pycha

[1]) walczący ze złem.

To jednakie śmiecie,
Które w otchłań spycha
Lada dziejów wiew!

* * *

O, poznaj sam siebie,
Nie żądaj być panem,
Jak Pan, który w niebie!
Ni chciej, jak bydle, gnić nad paszy łanem!
Z tej strony grobu przed zmartwychwstań
wschodem
Bądź ty człowieku męką z niebios rodem,
Bądź arcydziełem nieugiętem woli,
Bądź cierpliwością, tą panią niedoli,
Co gmach swój stwarza z niczego — powoli!
Bądź tą przegraną, której cel daleki,
A która w końcu wygrywa na wieki!
Bądź spokojnością śród burz niepokoju,
W zamęcie miarą i strojem w rozstroju [1])
Bądź wiecznem pięknem w wiecznym życia boju!
Dla podłych tylko i Faryzeuszów
Bądź groźbą, gniewem lub świętem milczeniem
I nie mniej żadnych z obłudą sojuszów!
Dla wszystkich innych bądź anielskiem
tchnieniem,

[1]) harmonizują wśród braku harmonji

Bądź tym pokarmem, który serca żywi,
Bądź im łzą siostry, kiedy nieszczęśliwi,
A głosem męskim, gdy się w męstwie chwieją;
Tym, którzy z domu wygnani, bądź domem —
Tym, co nadzieję stracili, nadzieją,
A śpiącym trupio bądź przebudzeń gromem!
W walce z tem piekłem świata, co się złości,
Zawsze i wszędzie bądź siłą, co skłania,
Nad śmierć silniejszą siłą ukochania —
Bądź piekłem miłości!

* * *

W ciągłej przykładu i słowa postaci
Rozdawaj siebie samego twej braci!
Mnóż ty się jeden przez czyny żyjące,
A będą z ciebie jednego — tysiące!
Bądź i w kajdanach niestrudzonym trudem —
Niech ból cię każden, choć boli, nie boli!
W jednej twej piersi bądź twym całym ludem —
Bądź niebo z ziemią spajającym cudem —
Świętością w niewoli!

* * *

Ni śpiesz się na śmierć, aż, jak ziarno w ziemi,
Myśl twa się w serca wsieje — i rozplemi!

Póki męczeństwo nie pewnią[1]) zwycięstwa,
Twem dobrem tylko, a nie człowieczeństwa —
Unikaj męczeństwa!
Marnej sławy wieńce
Chwytają szaleńce,
W niebezpieczeństwie wiry
Skaczą bohatyry —
Lecz wyższa moc Ducha
Tych ułud nie słucha.

* * *

Dopiero, kiedy jęczący dokoła
Dzwon zdarzeń wszystkich na ciebie zawoła,
Byś ty się w odkup ofiarował za nie,
A, usłyszawszy to ziemi wołanie,
Ty padniesz duszą w pokornianej skrusze
U rozstajnego obu światów proga
I w twą, rozsłaną tam przed Bogiem duszę
Spłynie śród ciszy natchnienny[2]) głos Boga:
Wstań, i jak szermierz dobiegły do mety,
Ze stóp twych otrząśnij pył tego planety —
Wstań i z miłości, co, gdy kocha, kona,
Odlatujące wznieś w niebo ramiona —
Wstań i do katów, co śpieszą ku tobie,

[1]) nie jest pewnym, że zwycięży.
[2]) wzbudzający natchnienie.

Sam śpiesz się naprzód i witaj tych gości
Cicho — spokojnie — błogo — w bezżałobie,[1])
Litośnym wzrokiem twej nieśmiertelności!
Wtedy świadectwem skończ w przyszłość obfitem:
Śmiercią bądź życia najwyższym wykwitem!
Co świat przezwał snem i marą,
Uczyń jawem,
Uczyń wiarą,
Uczyń prawem,
Czemciś pewnem i ujętem,
Czemciś świętem,
Co głęboko w serca,
Jak sztylet się wwierca
I tkwi w nich bez końca,
Choć tylko je trąca
Westchnienia powieniem!...
Aż świat, twój morderca,
Sam klęknie i wyzna,
Że Bóg i ojczyzna
Narodów sumieniem.

* * *

Gdy z krwi płynnej twego ciała
Myśl twa szkarłat będzie miała—

[1]) radośnie.

Myśl twa będzie światła prądem,
Skrzącym w górze bożym sądem
Nad bezbożnych dolną zgrają.
Jej nie dotrzymają:
Ni męże, ni działa,
Ni kłamstwa, ni złudy,
Ni geniusz, ni chwała,
Ni króle, ni ludy.
I o trzeciej dobie [1])
Na męki twej grobie
Ze zdarzeń powodzi,
Ponad klęsk otchłanie
Niezrodzone się narodzi:
Sprawiedliwość wstanie!

[1]) o trzeciej dobie dziejów, t. j. w epoce Ducha Św., którą poeta przepowiada w swej Nie Boskiej Komedji.

534